

Z
CYKLU

EPOPEJE
I
LEGENDY

T O M
1



ORNAMENTY I RYSUNEK OKŁADKI
E. CZERPERA

JERZY
LAFENESTRE

LEGENDA
~ ~ ~
FRANCISZKA
~ ~ ~
ASYZU

WEDŁUG ŚWIADECTWA
WSPÓŁCZESNYCH



LWÓW — POZNAŃ
NAKŁADEM WYDAWNICTWA
POLSKIEGO



286477

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY
FR. MIRANDOLI

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0173021

DRUKARNIA CONCORDIA SP. AKC. POZNAŃ.

W/192/05p

WSTĘP.

Nie należy szukać erudycji w tej książce, ni krytycznego studjum, a nie jest to również żaden syntetyczny szkic treści religijnej, historycznej, czy filozoficznej. Posiadamy mnóstwo publikacji naukowych, literackich, książek dobrych i pięknych, od pół wieku, to jest od Ozonama do Renana, zwłaszcza w latach ostatnich, wymownie odtwarzających tego wielkiego świętego Włoch. Idealna postać jego rysuje się w tych dziełach tak jasno, że zuchwalstwem byłoby bez długich i specjalnych studjów podejmować rzecz na nowo.

Zamiar mój był prostszy, porywy skromniejsze, a cel bliższy. Wydało mi się, że dziś można już, a to właśnie dzięki tym badaniom współczesnym, opowiedzieć bez wahania, niepewności, życie czyste, a potężnego odnowiciela idei religijno-moralnych XIII-go wieku, w całej Europie, a prekursora i inspiratora Odrodzenia sztuk i umiejętności swego kraju. Starczyło dopuścić do głosu świadków jego

życia, towarzyszy apostołatu i tych, którzy go znali i żyli z nim blisko.

Zarówno myśl tę mi podały jak i ułatwiły zadanie trzy prace, trzy istotnie biografje, słynne już i popularne, a mianowicie dzieła: Thodego w Niemczech, Sabatiera we Francji i Jana Joergensena w Danji. Rozczytując się w tych niezrównanych książkach i to bezpośrednio po powrocie z Umbrji, gdzie odświeżyłem dawne wrażenia, uczulem to samo pożądanie prawdy, jakie ich paliło w ciągu wytrwałych, a płodnych poszukiwań. Mając ich pomoc, umyśliłem cofnąć się do źródeł głównych, świeżych i żywych przedziwnej legendy, sięgając powyż zbyt krótkiego szkicu „Złotej Legendy,” powyż nawet tekstu św. Bonawentury, tej kompilacji oficjalnej, tak mądrej, tak poetycznej, która jednak przez samo pochodzenie swoje nacechowana jest rezerwą wielką i nie posiada tej swobody, co prywatne kroniki, spisywane przez naocznych świadków współczesnych.

Pewny byłem, że pragnienie swe zaspokoję z całą pewnością, dysponując publikacjami takimi, jak: „Speculum Perfectionis” i „Actus S. Francisci” dokonanemi przez Sabatiera, głównego promotora współczesnych badań franciszkańskich, a dalej, mając przed sobą „Legenda Prima,” „Legenda Secunda,” „Tractatus de Miraculis,” ogłoszone przez Edwarda d’Alençon, a wreszcie „Leggenda scritta

da tre Compagni,” wydaną przez Marcelina da Civezza i Teofila Domenichelli.

Przestudjowałem w Collège de France zaczątki Odrodzenia w Średniowieczu i zatrzymałem się u progu XIII-go wieku, w którym to momencie dziejowym nastąpiło ocknienie Włoch moralne, społeczne, literackie, naukowe i artystyczne. Tutaj pierwszą postacią jest św. Franciszek, twórca nowej religji ewangelicznej, apostoł czysty, a rozplamieniony wiarą prostą i bliską człowiekowi. Wnim to przejawiała się na nowo miłość Boga-Stworzyciela, miłość gorąca i czuła dla całej ludzkości i wszelkich żywych, a nawet nieożywionych istot. Postanowiłem dać czytelnikom moim przedewszystkiem wizerunek człowieka, a potem dopiero pokazać niesłuchanie szybkie, wydatne i trwale oddziaływanie na genjusz włoski i cywilizację świata tego kaznodziei popularnego, obdarzonego żywą wyobraźnią, wrażliwością serca, czystością zapалу, zachwytem dla piękna ziemi i nadziei nieba. Gdzież atoli szukać należało elementów tego wizerunku?

Na którymże punkcie, gdy idzie o osobistości tak dawne, zatrzymuje się historia realna i pewna, a zaczyna legenda fantastyczna i wątpliwa? Właściwie, tak samo bywa z wszystkimi ludźmi słynnymi każdego kraju, najbardziej znanymi i żyjącymi w czasach najbliższych nam nawet.

W naszych oczach tworzą się wokół współczesnych nam, za ich życia jeszcze, i pośród ich otoczenia legendy, które uzupełnia, okrasza, czy szpeci, stosownie do swych przesądów, wyobraźnia ogółu. I ta właśnie legenda oddziaływać będzie najpotężniej na umysły potomnych, oraz całokształt dziejów. Trzeba tedy dotykać legendy ostrożnie i z poszanowaniem, bowiem spoczywa ona przeważnie, w zaczątkach swych, na faktach rzeczywistych, które unięśnienie współczesnych i wdzięczność potomnych przyniosło w szatę cudowną i niezwykłą. Same właśnie odkrycia wiedzy czasów naszych nakładają nam coraz to bardziej ten obowiązek.

Karol Wielki, św. Ludwik, Joanna d'Arc, czy Napoleon, nie utracili nic ze swej wielkości skutkiem owych promieni, przenikających coraz to jaskrawiej ich legendę i rozświetlających rolę rzeczywistą, jaką odegrali w naszym rozwoju narodowym. Tosamo odnosi się do św. Franciszka z Asyżu. Im bliżsi mu jesteśmy i lepiej go rozumiemy, kochamy go tem mocniej. Wystarczy przypomnieć, że w jego epoce umysły najkulturalniejsze, najbardziej pozytywne, a także przeciwnie najtwardziej prostackie, czy najgoręcej wierzące, żyły w codziennem nawyku interwencji nadprzyrodzonej. Wszyscy towarzysze życia jego i on sam dopatrywali się ręki bożej w czynach jego i wizjach. Pod tym względem tedy

nie możemy wątpić w szczerość ich świadectw i przekonań.

Pod tą jednak aureolą cudowności, którą otaczają świętego mistrza swego, postać analizowana przez nich wykreśla się ostro, troskliwie, jest w najdrobniejszych szczegółach wypracowana i daje fizjonomję naprawdę wyjątkową dla tej epoki.

Życiorysy i legendy św. Franciszka przechodziły dziwne koleje, zanim do nas dotarły. Mówi o tem Paweł Sabbatier w różnych przedmowach i Joergensen we wstępie do swego „Żywotu św. Franciszka“, a przygody ich zdumiewają wprost. Poznajemy tam również, ile trzeba było namiętnego rozciekawienia, wytrwałych badań i genialnych dedukcji wielbicieli tego człowieka bożego, by oswobodzić od niepożądanych i szkodliwych przysłon te źródła odległe, z których czerpać można. Źródłem takim jest przede wszystkim „Legenda Prima“ i „Legenda Secunda“ Tomasza Celano, następnie „Speculum Perfectionis“, „Actus“, „Legenda Trium Sociorum“, zredagowana przez brata Leona, albo na podstawie jego cennych zapisków, a wreszcie o ile idzie o epizody, przedziwne „Fioretti“, będące ostatnim plonem na tej niwie.

Dwie pierwsze legendy spisane zostały przez Tomasza Celano. „Legenda Prima“ zamówiona była niemal zaraz po śmierci świętego (w r. 1226) przez

papieża Grzegorza IX. i oddana 25 lutego 1229. Tomasz, będący podówczas misjonarzem w Niemczech, nie był świadkiem ostatnich chwil św. Franciszka, ale żył długo w bliskich z nim stosunkach. Był to mąż uczony i wymowny wielce. Dzieło jego, pisane stylem kaznodziejskim, obciąża miejscami balast dogmatycznych dodatków. Mimo to jednak obfitością szczegółów, powagą, oraz pewnością poglądów świadczy o niewątpliwie pewnych informacjach.

Jednocześnie spisał brat Leon z własnego popędu i bez żadnego mandatu, wspomnienia osobiste. Był ostatnim sekretarzem świętego, powiernikiem i opiekunem w chorobie, a uczynił to obrażony ambicją brata Eljasza i zakusami Kurji Rzymskiej. Święty zwał go „małą owieczką bożą.“ Te notatki pisane na paskach pergaminu posłużyły później zelantom, uczniom czystym do skomponowania „Speculum“, „Actus“ i „Fiorettów.“ Sabatier znalazł w „Bibliothèque Nazin“, rękopis „Speculum“ z datą roku 1228 i oznaczył na ten rok powstanie jego. Ale późniejsze badania stwierdziły, że jest to błąd kopisty, mimo wszystko jednak, ten zbiór zapisków ma dla nas wartość dokumentarną i uzupełnia wielokrotnie inne legendy.

Wiadomo, że po śmierci świętego zakon, kierowany przez ambitnego brata Eljasza i pierwszych

jego spadkobierców, nieraz zbaczal z idealnej drogi, wykreślonej mu przez założyciela. Towarzyszy jego, będących depozytariuszami jego wiary, zapomniano, odsuwano na bok, podawano w podejrzenie i prześladowano.

Kiedy więc w roku 1244 został wybrany na generała jeden z największych zelantów, Krescenty de Jesi, zwrócił się przede wszystkim do wszystkich żyjących jeszcze świadków świętej epopei. Kongres generalny w Genui, któremu przewodniczył, postanowił, że mają oni dostarczyć na piśmie wspomnień i szczegółów, przydatnych dla skompletowania „Legenda Prima.“ Od dnia 11 sierpnia 1246 zaczęli nadsyłać brat Leon, brat Rufin z Asyżu, oraz brat Anioł Tankred z Rieti, wszyscy trzej ukryci w klasztorze w Greccio, „opowiadania o różnych rzeczach, których byli świadkami sami, albo o których zasłyszeli od innych braci, a głównie od brata Filipa, od Illuminata z Rieti. od braci Masseo i Jana, przyjaciół pierwszego ucznia, Bernarda z Guintarale, oraz od brata Egidjusza.“ Tak powstała „Legenda Trium Sociorum.“

Tomasz de Celano dał ze swej strony ciąg dalszy dawnej pracy, to jest dzieło „Legenda Secunda“, skomponowane na podstawie danych tychże samych braci i własnych wspomnień, i podał tenaiczne zwierzenia w formie bardziej literackiej. „Tractatus

de Miraculis," również przez niego nieco później napisany, ma taki sam początek. Resztki wspomnień brata Leona, nie spożytkowane dotąd, ale zawsze troskliwie przechowywane po klasztorach, posłużyły później do zredagowania „Actus,” w których Sabatier rozpoznał oryginał łaciński Fiorettów. Wedle opinii tego uczonego redakcja tej poetyckiej wulgaryzacji jest zasługą brata Hugolina z Monte Georgio i powstała pomiędzy rokiem 1322 a 1328.

Pomiędzy tymi dwoma okresami, rokiem 1246 do 1248, w którym to czasie powstało dzieło trzech towarzyszy i dopełniającą pracę Celana, a latami 1313—1328, stanowiącymi datę najstarszego rękopisu „Speculum Perfectionis“ i „Actus“ zaszedł fakt wielkiej doniosłości dla całej legendy. W roku 1257 został wybrany generałem Braci Mniejszych, brat Bonaventura (Giovanni Fianza de Bagnoma, późniejszy św. Bonaventura), doktor i słynny profesor uniwersytetu paryskiego. W roku 1260 powierzyła mu kapituła generalna, zebrana w Narbonne, zredagowanie ostatecznej legendy św. Franciszka „zupełnie zgodnej z prawdą.“ Urodzony w r. 1221, pamiętał Bonaventura świętego tylko ze swych lat chłopięcych, ale pospieszył zaraz do Asyżu i jął wypytywać żyjących jeszcze, a ci mu dostarczyli pewnej ilości rysów, uzupełniających szczegóły poprzedników. Opowiadanie jego napisane poetyczną prozą,

barwne jest, ale nie posiada świeżości pierwotnej, entuzjazmu bojowego, ni naiwnej czystości, cechujących zapiski świadka naocznego, powiernika i towarzysza pracy. „Stworzył on — powiada Sabatier — kompilację o tendencji pacyfikatorskiej. Napisał życiorys oficjalny i kanoniczny, co mu się niestety zbyt dobrze nawet udało. Św. Franciszek jest tu wielkim taumaturgiem, ale fizjognomja jego traci dużo oryginalności swojej.“ Zbożni wydawcy „Analecta Franciscana“ sami przyznali, że „złagodził różne rzeczy dla świętego spokoju,” a Joergensen dodaje: „osłabił zbyt ostrą ekspozycję ideału pierwotnego, jaką podaje Celano i trzech Towarzysze.

Mimoto, kiedy brat Bonaventura przedłożył w roku 1265 swą ukończoną już pracę kapitule w Pizie, zebrani uczuli takie zadowolenie, że uchwalili osobnym dekretem, by zniszczono wszystko, co zostało dotąd napisane o św. Franciszku, a co przechowuje się dotąd po klasztorach.

Ta sroga proskrypcja dotyczyła przede wszystkim pamiętników Celana i brata Leona. Był to dla obu cios fatalny. Ale na szczęście, jak to bywa zazwyczaj, legendy te rozpowszechniły się już w tradycji ustnej, a nawet rękopisy były zbyt liczne, by nie miało zostać kilku bodaj egzemplarzy kompletnych, czy urywkowych w klasztorach przywiązanych goręcej

do ideału ewangelicznego. Benedyktyni wieku XVII, tak zawsze ciekawi i sumienni, ogłosili kilka fragmentów. Dzisiaj, dzięki uporczywym poszukiwaniom Pawła Sabatiera, posiadliśmy komplet tych nieocenionych dokumentów i możemy odtworzyć od stóp do głowy tego człowieka Bożego, którego współcześni zwali nowym Chrystusem, możemy go poznać w całej męskiej prostocie i czystym dostojeństwie charakteru i czynów jego.

Niezliczona moc faktów, zawarta w tych wszystkich kronikach, zapelnilaby tomy. Wybrałem tedy te jeno, które podkreślają oryginalność popularnego świętego, oraz wyjaśniają niezmierny wpływ jego na umysły rodaków, co się odbiło na wytworach poezji i plastyki. Książka niniejsza jest więc jeno ciągiem tekstów przełożonych z największą jak tylko można dokładnością. Słowa własne pobożnych uczniów podaję tutaj i podkreślam to raz jeszcze.

Oczywiście dorzuciłem tu i owdzie zdań parę, by złagodzić przeskok, objaśnić niektóre wyrażenia, lub uniknąć pleonazmów. Zdarza się to jednak rzadko i tylko z konieczności. Zdaje mi się, że nie chybiłem nigdzie szacunku należnego tak cennym świadectwom i nie naruszyłem zbytnio ich wzruszającej i wyrazistej prostoty.

JERZY LAFENESTRE.

I.

WIEK DZIECIĘCY I MŁODOŚĆ.



oku Pańskiego 1182 żył w mieście Asyżu, na stoku góry Subasio, bogaty, handlujący suknem kupiec, którego zwano Piotrem di Bernardone (lub Piotrem synem Bernardona, grubym Bernardonem). Pochodził pono z Lukki, gdzie przodkowie jego, Moraconi, z pokolenia w pokolenie fabrykowali i sprzedawali sukno i inne tkaniny.

Najlepsze interesy robili oni we Francji. Rok rocznie udawali się na targi do Szampanji i Langwedocji. Na słynne podówczas targi w Montpellier przybywali handlarze wszystkich krajów, Egipcjanie, Syryjczycy, Grecy, Hiszpanie, Anglicy, tak licznie niemal, jak Turkomani i Genuieńczycy. Podczas jednej z takich podróży Bernardone poślubił

córkę szlachetnego rodu, piękną i słodką Pike. Tegoż jeszcze roku, kiedy przebywał po tamtej stronie gór, Pika obdarzyła go w miesiącu wrześniu pierworodnym synem.

Dobrzy ludzie powiadają, że, kiedy Pika zaczęła w bólach, pielgrzym jakiś zastukał do drzwi domu, gdy zaś służąca otwarła, polecił zawiadomić położnicę, że powinna, jeśli chce zaznać spokoju, opuścić wspaniałe łóżce i leć na słomie, w stajni. Gdy to uczyniono, bóle natychmiast ustały, a Pika wydała na świat syna, którego posłaniem, równie jak Zbawiciela, była słoma stajenna.

Powiadają także, że tensam pielgrzym zjawił się nazajutrz w kościele św. Rufina, gdzie zanieśiono dziecko do chrztu. Wedle innej wersji, przybył po chrzcie do domu, prosząc, by mu pokazano noworodka. Ujrzawszy dziecko, wziął je na ręce, jak to uczynił Symeon z Chrystusem, i powiedział:

— Dziś urodziło się przy tej ulicy dwoje dzieci. Jedno z nich, to właśnie, wyrośnie na jednego z najlepszych ludzi tego świata, drugie zaś będzie człowiekiem najgorszym z pośród wielu.

Potem naznaczył pielgrzym, anioł snadź, znakiem krzyża ramię dziecka, zalecił piastunce, by je dobrze strzegła przed zakusami czyhającego na jego życie szatana, potem zaś znikł bez śladu.

Pod nieobecność męża dała Pika synowi na chrzcie imię Jana Chrziciela, zwiastuna Chrystusa. Ale Bernardone, gdy wrócił, dał mu imię Franciszka (Francesco) przez miłość dla Francji, gdzie się dorobił majątku i znalazł małżonkę. Pierwszy to raz nazwano we Włoszech chłopca tem imieniem.

— Nie chcę — powiedział — mieć syna, okrytego skórą wielbłądzą, jak Jan Zwiastun, lecz wolę, by był Francuzem, pełnym dystynkcji.

I rzeczywiście, rodzice, znający język d'Oc i d'Oil, hodowali dziecko na sposób francuski, a do snu kołysano chłopca prowansalskimi ritornelami. Potem wsłuchiwał się w piękne poematy rycerskie, pełne szlachetnych czynów i przygód miłosnych, które deklamował lub czytał Bernardone, ile razy wrócił z poza gór. Chłopiec chwycił chciwie i uczył się rozumieć pieśni trubadurów i truverów, oraz podziwiał minstrelów i sztukmistrzów, którzy dość często przechadzali przez Asyż.

Bernardone nie zamierzał wcale wy kierować syna na uczonego czy zakonnika. Wpoił mu jeno trochę umiejętności czytania, pisania i łaciny przy pomocy księży kościoła św. Jerzego, tyle tylko, ile trzeba, by prowadzić książki handlowe i rozumieć Ewangelię. Nie skończył jeszcze czternastu lat Franciszek, kiedy stał się bardzo uży-

tecznym, czynnym i wprawnym pomocnikiem ojca w sklepie. Grzeczny, usłużny i bystry młodzieniec podobał się każdemu. Był weselszy i hojniejszy, niż ojciec, lubił rozrywki, muzykę, toteż widywano go nieraz w dzień, czy w nocy w otoczeniu licznych towarzyszy, z którymi chodził, śmiał się i wyśpiewywał po ulicach Asyżu i polach okolicznych.

Nadzwyczaj hojny, nawet rozrzutny, wydawał cały zarobek swój na bankiety, wycieczki i inne przyjemności. Napominali go często rodzice i czynili wyrzuty, że wiedzie życie wielkiego pana, nie zaś mieszczanina. Byli jednak zamożni i kochali syna, przeto, nie chcąc go dręczyć, pozwalali na wszystko. Zwłaszcza pani Pika, matka kochająca, stawiała w obronie syna, ile razy któryś z sąsiadów przyganiał jego szaleństwom i marnotrawstwu, i mawiała z uśmiechem:

— Nie znacie syna mego. Dajcież pokój! Mam niepłonną nadzieję, że będzie on kiedyś prawdziwym dzieckiem bożem.

Tymczasem jednak młodzieniec, stojący na czele wesolej czeredy, wywoływał niezmierne zdumienie ogółu swemi pomysłami, lekkomyślnością i marnowaniem grosza.

Gorszono się, widząc, jak ten bogaty i zdolny w handlu chłopiec rzuca pieniędzmi na głupstwa, paple, przyspiewuje, oddaje się wygodom, dziwa-

czy w ubiorze, puszy się i popełnia mnóstwo szaleństw.

On jednak, dumny, jak książę, z tego, iż przewodzi młodzieży całej okolicy, wodził dalej rej w wesolej rzeszy, rozbijając się po całym Asyżu, a trwało to aż do dnia, w którym Bóg i Pan spojrzeć nań raczył.

Mimo wszystkich szaleństw swych, syn Monny Piki, uprzejmy zawsze i delikatny, nie dopuścił się nigdy czynu nieczemnego. Dyskretny w słowach, głuchy był na słowa złe i ordynarne. Z powodu tych właśnie zalet charakteru i miłego obejścia miał mimo wybryków swoich opinię dobrą w mieście i całej okolicy. Przyjaciele bliżsi twierdzili zawsze, że budzi wielkie nadzieje. Litościwy i hojny dla biednych, w jałmużnach swoich, obyczajem kupców, lubił przejawiać pewną próżność, płynącą z dobrobytu. Wstydić się tego zaczął dopiero po następującem wydarzeniu:

Był pewnego dnia zajęty w sklepie i z gorliwością wielką sprzedawał sukno w chwili, gdy wszedł żebrak, prosząc w imię boże o jałmużnę. Pochłonięty przez klientów i opanowany chęcią zysku, ofuknął zrazu biedaka, ale zaraz jął sobie czynić gorzkie wyrzuty, oświeciła go bowiem łaska boża.

— Ach! — powiedział sobie. — Czyż nie dałbym temu człowiekowi wszystkiego, co by jeno

chciał, gdyby przyszedł w imieniu jakiegoś hrabiego czy barona? Żaliż nie powinienbym był go obdarzyć hojniej jeszcze, gdy prosił w imię Króla pełnego chwały i Pana świata?

Tego dnia postanowił sobie, że nie odmówi nigdy, jeśli go ktoś poprosi w imię Pańskie.

W czasach owych rozterki nieustanne i wojny trapiły Italię. Władcy Niemiec walczyli z papieżami, a po miastach i zamkach Toskanji i Umbrji toczyli boje panowie szlachta z mieszczanami i rękodzielnikami.

Miasto Asyż, które posiadało dawniej własny samorząd i konsulów, popadło po klęsce cesarza Fryderyka Barbarosy pod synem jego, Henrykiem, na nowo w ręce kapitana niemieckiego, Konrada von Irslingen, księcia Spoleto, hrabiego Asyżu. Ledwo atoli zamknął oczy Henryk VI a na tronie papieskim zasiadł dzielny Inocenty III, powstałi Asyżanie jak jeden mąż, wielcy i mali, dostojni i pospolitacy, tłuści i chudzi, i ruszyli na intruza, a Konrad zamknął się w warownej Narni. Forteca ta, wieńcząca Monte Rosa, dominująca nad miastem, została zdobyta w ciągu kilku dni przez rozwścieżoną ludność, a przy tej sposobności zdemolowano pałace niektórych notablów, powalono lub uszkodzono wieże i wygnano ich mieszkańców. Jednocześnie wzięli się Asyżanie do obrony wolności

i wzniesli wokół miasta silny mur obronny z basztami strzelniczymi. Praca ta, podjęta z zapalem niezmiernym, dokonana została szybko i dobrze. Siedemnastoletni wówczas Franciszek, przyjaciel biednych i prostych, dzielił z wielkiem zaparciem się wspólny trud i pracę.

W roku 1202 armja rzeczypospolitej Perugji, sprzymierzona z wygnanymi notablami Asyżu, spotkała się na równinie Ponte San Giovanni z milicją asyską, złożoną z wszystkich obywateli. Franciszek Bernardone walczył wraz z innymi patryotami, a po klęsce Asyżan zaprowadzony do Perugji, zamknięty został w więzieniu razem z kilku notablami.

Przez dwuletni okres tej niewoli zadziwiał młodzieniec wszystkich towarzyszy rezygnacją i pogodą duszy.

Więźniowie zaliczali się przeważnie do stanu rycerskiego i szlacheckiego; zostawszy w mieście, walczyli oni po stronie obywateli, a Franciszka Bernardone zamknięto z nimi, gdyż był szlachetny z obyczajów, choć nie z rodu. Wszyscy wyrzekali i skarżyli się, on jeden pozostał swobodnie wesołym i nie sobie nie robił z przygody. Jeden z więźniów uczynił mu nawet wymówkę, gdy dnia pewnego jął tańczyć po sali więziennej.

— Nie znacie mnie! — odparł Franciszek. — Ciało moje jest zamknięte, ale nic sobie z tego nie

robię, gdyż posiadam swobodę umysłu. Smucę się, coprawda, razem z wami z powodu waszego nieszczęścia, ale bardziej jeszcze raduje mnie moja niedola, która mi jest szczęściem. Nie wielkie macie, widzę, wyobrażenie o mnie. Wiedzieciez tedy, że ten oto, który dziś wspólnie z wami dźwiga łańcuchy, będzie kiedyś czczony w świecie całym.

Czasem także godził zwaśnionych więźniów łagodnemi i mądrymi słowy. Jeden z nich, bardzo butny i zarozumiały, stał się tak nieznosnym, że mówić z nim nie chciano. Cierpliwością dokonał Franciszek, że człowiek ten pokochał go, potem zaś pogodził go z resztą.

W listopadzie, roku 1203 zawarty został pokój pomiędzy notablami a ludem Asyżu. Gmina zobowiązała się zwrócić możnowładcom mienie i nagrodzić straty, a oni ze swej strony przysięgli nie zawierać paktów z państwami obcemi bez zezwolenia gminy. Zaraz po podpisaniu traktatu wrócił Franciszek do Asyżu i znalazł się na łonie rodziny.

II.

NAWRÓCENIE. — PIERWSZE ETAPY.



zasu smętnego więzienia w Perugji, opowiadali często szlachetni towarzysze Franciszka o swych dawnych czynach rycerskich, tryumfach bojowych, turniejach, atakach, kawalkadach, przygodach miłosnych i innych awanturkach, będących wówczas w zwyczaju. Niektórzy z nich przekroczyli Alpy, poznali wspaniałości cesarskiego Augsburga, Kolonji, oraz przepych i piękno królewskiej stolicy Francji, „niezrównanego Paryża.“

Syn kupca, wędrującego po Prowancji, śpiewał im bez końca, deklamował i recytował wszystkie kuplety, romance, obady, sirwenty, balady, tyrady, chansons de gestes i chansons de trile, zasłyszane w domu.

Umocniło go to jeszcze bardziej w podziwie dla rycerskości, zawodu wędrownych paladynów, obrońców uciśnionych i słabych, opiekunów biednych i cichych.

Po zrzuceniu łańcuchów niewoli oddał się on z początku wraz z asyskimi przyjaciółmi, jak dawniej, ucztom i rozrywkom.

Dniem i nocą rozbrzmiewały ulice okrzykami wesela, pieśniami pijackimi, wojennymi i miłosnemi, grzmiały skrzypki, lutnie, oboje, a wesola czereda tańczyła pośród domów, powolna rozkazom wodza swego, protektora i skarbnika w jednej osobie.

Bernardone i Pika uśmiechali się tylko, patrząc na tę hojność syna, a nawet pochlebiało im, że bierze górę nad szlachtą i możnowładcami zarówno obejściem, jak i zawartością kiesy.

Ale nie długo zdołał Franciszek znieść ten tryb życia. Zachorował ciężko, leżał na łożu i omal nie umarł. Przychodził do zdrowia pomału, a gdy po całych tygodniach i miesiącach wyszedł ze swego pokoju, wsparty na lasce, dziwnie słaby i chwiejny, uczył, że wszystko się w nim zmieniło. Radowało go z początku, iż może chodzić po wszystkich komnatach, zejść do sadów i zobaczyć znanych ludzi i znane rzeczy. Potem zapragnął także spojrzeć znowu na cuda stworzenia boskiego.

Wyszedł powoli na świat, usiadł i jał patrzeć wokoło. Nastał właśnie wrzesień, miesiąc bardzo łagodny w zielonej Umbrii. Franciszek oglądał wszystko ze świeżem zaciekawieniem. Mimoto jednak piękno wsi, urok winnic i wszystkie cuda przyrody nie zaspokoili go, tak, że, zdziwiony zaszła w nim zmianą, uznał jednocześnie za szaleńców tych, którzy nie podziwiają nic, prócz tych rzeczy. Od tego dnia zaczął obniżyć w duszy własnej to, co go ongiś zachwycało i z wolna nauczył się gardzić tem.

Nie mógł się atoli przeistoczyć w ciągu dnia jednego. Nie zerwawszy jeszcze zupełnie ani też całkiem szczerze więzów próżności, jał się wykręcać z pod dłoni boskiej, zapomniał o ostrzeżeniu ojcowskiem, jakie otrzymał, i wrócił do spraw tej ziemi za pierwszym uśmiechem sposobności. Pewny był, że dokona czynów świetnych na tym doczesnym świecie i dla niego właśnie.

Okolo tego to czasu sposobił się możnowładca Asyżu, najbogatszy ze wszystkich notablów, hrabia Gentile, do połączenia w Apulji swych sił orężnych z wojskami słynnego kondotjera francuskiego, Gauthiera de Brienne, który walczył po stronie papieża Inocentego przeciw młodemu cesarzowi Fryderykowi. Żył on wystawnie, chadzał w lśniącej zbroi, otoczony światą liczną i hardą, a rozpieiała go pycha i żądza sławy, zarobku i zaszczytów.

Lekkomyślny i płochliwy Franciszek wbił sobie do głowy, że pójdzie z nim jako wojownik zaciężny. Sprawił sobie też zaraz wspaniałą ryszunę, chcąc przyćmić swego krajana bogactwem, gdy nie mógł dostojenstwem rodu, a będąc mniej bogatym, chciał go przewyższyć hojnością.

Zaabsorbowany zupełnie przedsięwzięciem, palił Franciszek żądzą wyruszenia coby prędzej w drogę. Atoli pewnej nocy nawiedził go łagodnie wizja senna, który dał mu już raz odczuć różgę swej sprawiedliwości, a widząc iż, tak bardzo chciwy jest sławy, umyślił pociągnąć go ku innym, wyższym nierównie granicom tejże sławy. Franciszek śnił, że cały dom napelniony jest bronią wszelaką i narzędziem wojennem, a więc siodłami, tarczami, lancami i szyszakami. Z zachwytem patrzył młodzieniec, nie nawykły do takiego mnóstwa żelaziwa w domu, gdzie leżały zazwyczaj jeno stosy sukna. Gdy tak stał zdumiony, głos jakiś rzekł mu, że wszystka ta broń przeznaczona jest dla niego i jego wojska.

Wedle innej wersji, broń tę lśniącą widzieć miał nie w domu ojcowskim, ale w obszernej sali książęcego pałacu, którego posiadanie również mu we śnie przyrzeczono.

Rozradowany wielce tym snem, wstał i wyszedł, snując jak najpomysłniejsze horoskopy bojów w

Apulji. Widział się już nagrodzonym godnością szlachecką za czyny bojowe, gdy nagle spotkał przyjaciół, którzy spytali o przyczynę takiego rozradowania niezwykłego.

— Raduję się, — odparł — ponieważ zostanę potężnym księciem!

Ta wizja prorocza była nagrodą za czyn wspaniałomyślny, spełniony wobec biednego rycerza, który chciał wyruszyć także, ale nie miał się za co wyekwipować. Wspominając centurjoną, świętego Marcina, który podzielił się płaszczem swym z nagim żebrakiem, okrył Franciszek nagość przyszłego towarzysza broni. Marcin był jednak biedny, a Franciszek bogaty, przeto darował niezamożnemu rycerzowi całą drogocenną zbroję, broń i ryszunę, który sobie kazał sporządzić.

Wyekwipowawszy się ponownie jak najwspanialej, wyruszył drogą ku Apulji w ślad Gentila i ludzi jego. Zaledwo jednak dotarł do Spoleta, nawiedzony został w półśnie przez drugą wizję. Zjawił mu się ktoś i spytał, dokąd jedzie. Odpowiedział, że do Apulji, by tam wojować. A głos spytał żywiej jeszcze:

— Żali wolisz być sługą, czy panem?

— Panem, oczywiście! — odparł — Cóż mam tedy czynić?

— Wracaj do kraju rodzinnego! — rzekł głos boży — Ja ci sam wyjaśnię znaczenie tego zwidu.

Spędził całą noc bezsennie, dumając nad temi słowami. Wstał o świcie, lekki, wesoly i ruszył spieszenie z powrotem do Asyżu, powolny rozkazowi Boga, zrzekając się własnej woli, niby drugi Paweł, nawrócony w drodze do Damaszku. Miał teraz zmienić broń cielesną na duchową. Czekając, aż wola boża wskaże mu drogę czynu, weselił się, tak, że dziwił towarzyszy i powtarzał ciągle, iż zostanie wielkim, potężnym księciem.

Zaczęły się na nowo bankiety, koncerty, obiady, serenady, słowem wierutne głupstwa i szaleństwa.

Pewnego dnia towarzysze, znający jego próżność i hojność, pewni, że wszystko zapłaci sam, nadali mu tytuł Podestata, czyli króla festynów i, chcąc się lepiej uraczyć, udawali, że go słuchają i służą mu, niby lokaje. Nie chcąc się okazać skąpym, przyjął, mimo świętobliwych myśli, nadany sobie tytuł, zamówił wspaniałą ucztę, podwajając jeszcze ilość wykwintnych dań, tak, że przesyceni biesiadnicy wyszli na miasto, gorsząc wszystkich pijackimi pieśniami. Franciszek szedł zrazu na czele z laską przywódcy w rękę, ale potem przyzostał nieznacznie w tyle. Stał wkońcu, ze wstrętem słuchając wrzasków, a jednocześnie jęły w duszy jego śpiewać chóry anielskie. Wydało mu się w tej

chwili, jak to opowiadał później, że zstąpił doń w odwiedziny sam Pan i Stwórca, a taka go przejęła słodycz, iż nie mógłby rzec słowa, ni uczynić ruchu, choćby go smagano batami, czy cięto mieczem.

Towarzysze obrócili się w końcu i, choć zdaleka, spostrzegli z wielkiem przerażeniem zmianę jego twarzy. Wyglądał zgoła inaczej, toteż wrócili i jęli wołać:

— Czemuż opuściłeś nas? Cóż to znaczy? Czy czekasz na oblubienicę?

— Tak! — odparł żywo. — Niewiasta, którą posłubię, jest najpiękniejsza, najszlachetniejsza i najbogatsza!

Jęli się śmiać z niego, gdyż nie wiedzieli i wiedzieć nie mogli, że ta oblubienica, posłana mu przez Boga, to prawdziwa religja, ubóstwo — najpiękniejsza, najszlachetniejsza i najbogatsza z oblubienic. W ten sposób, tajemnem zrządzeniem woli bożej, zwolna, bezwiednie skierowany został Franciszek ku wiedzy prawdziwej.

Od tej pory postanowił upokarzać się i jął gardzić próżnością świata, którą dotąd wielce miłował.

Litość jego i miłość dla biednych zwiększyły się jeszcze. Nie odmawiał jałmużny ni w domu, ni na ulicy. Jeśli spotkał żebraka, a nie miał pieniędzy, dawał mu cokolwiekbądź, płaszcz, czapkę, lub pas. Razu pewnego nawet poprosił żebraka, by

zaczekał i, nie chcąc go puszczać z próżnemi rękami, zdjął w zakątku koszulę, potem zaś dał mu ją w imię boże. W ten sposób upodabniał się do Zbawiciela, nie w rzeczywistości jeszcze, ale w sercu swoim. Posyłał też cichaczem biednym księżom piękne materje na szaty kościelne. Gdy podczas nieobecności ojca zasiadał do stołu z matką, kładł na nim mnóstwo kawałków chleba, niby dla licznej rodziny. Gdy zaś dobra Pika pytała, czemu to czyni, odpowiadał:

— Karmię biedaków!

— Gdzież są?

— W sercu mojem.

Dobra matka, kochająca go ponad wszystkich synów swoich, pozwalała mu robić, co chciał, dziwiąc się nieraz, ale nie martwiąc, jak przedtem. Dawniej tak był bowiem opanowany przez uczestników szaleństw swych, że nieraz, zawezwany przez nich, wstawał od stołu w połowie obiadu i odchodził, zostawiając obrażonych i zdumionych rodziców.

Okolo tego to czasu przedsięwziął Franciszek pierwszą swą podróż do Rzymu wraz z pielgrzymami, udającymi się tam po odpust, i tam zaczął naukę ubóstwa. Wszedłszy do bazyliki św. Piotra, ukląkł przed grobem księcia Apostołów i zaraz oburzyło go skapstwo, z jakim pobożni wydzielali jałmużnę. Dobył z torby garść dukatów i rzucił

poprzez kratę na grób, a monety narobiły takiego brzęku, że wszyscy obejrżeli się, zdumieni hojną ofiarą. Wychodząc, ujrzał w przedsionku gromadę żebraków, których nie brak w Rzymie. Porwany nagłą myślą, zamienił z jednym odzież swą na łachmany, potem zaś siadł na jego miejscu, żebrząc w imię boże. Odzywał się w języku francuskim, bowiem lubił go, chociaż nie władał nim biegle. Odchodząc, wdział z powrotem własne suknie, ale był już inny zupełnie, jeśli nie ciałem, to duchem. Wróciwszy do domu, wycofywał się powoli ze zgielku świata i od trosk spraw handlowych, usiłując przeistoczyć się wewnątrz na wzór Chrystusa.

Franciszek miał w Asyżu człowieka bliskiego, drogiego sobie, z którym go wiązało obustronne, głębokie uczucie, tak że mógł mu zwierzyć wszelką tajemnicę. Jego to zabierał często, wiodąc w miejsca ustronne, odpowiednie do zwierzeń, i tam przyrzekał, że podzieli z nim skarb wielkiej wartości, przez siebie odkryty. Słyszając to, radował się przyjaciel i chodzili nieraz, rozmawiając o skarbie, do odległej groty skalnej. Człowiek boży, uświęcony już w myśli, wchodził do wnętrza, przyjaciel zaś pilnował, by mu nie przeszkadzano. Ogarnięty dziwnem uniesieniem, zapytywał tam wprost Ojca Niebieskiego, jakie ma wobec niego zamiary i prosił



o wskazówkę i znak woli. Doznawał podczas tego wielkich cierpień, myśli niebiańskie opanowywały go, bywał wzburzony i złamany, a mimo ogromnego żaru pragnienia nie miał sił tyle, by ujawnić to, co mu żarło duszę. Tam kajał się także grzechów swoich, któremi obraził Majestat boży. Nie pociągało go już zło przeszłe i bieżące, nie był jednak pewny przyszłości. Opuszczał grotę tak wyczerpany i przybity trwogą, że wydawał się innym gołą człowiekiem.

Pewnego dnia goręcej jeszcze wzywał miłosierdzia boskiego i wreszcie powiedziano mu, co ma czynić:

— Wszystko, coś dotąd kochał w świecie, ma ci zostać przedmiotem wzdargy. Gdy tak czynić zaczniesz, to, co słodkie i miłe dotąd było, stanie ci się gorzkie i niezdolne, trudne zaś i wstrętne ci sprawy nabiorą niewysłowionego uroku i słodyczy.

Usłyszawszy to, rozradował się wielce i, nie mogąc w żaden sposób zamknąć tej ogromnej rozkoszy w sobie, ronił potrosze coś nie coś w rozmowach z ludźmi.

Niezdolny milczeć, pod tym niezmiernym naporem miłości wyrażał się jeszcze zagadkowo. Wspominał przyjacielowi o skarbie odnalezionym, a także, mówiąc z innymi, był tajemniczy. Opowiadał, że, zrzekłszy się wojowania w Apulji, wrócił

do kraju dla dokonania czynów wielkich. Gdy go zaś pytano, czy pojmie małżonkę, przytakiwał, dodając, że jest ona piękna i szlachetna, jak żadna, a wszystkie prześciga wdziękiem i mądrością.

W kilka dni później, jadąc konno drogą asyską, napotkał trędowatego. Z pośród wszystkich plag ludzkich ta właśnie przepajała go wstrętem największym. Ale mimo osobistej odrazy nie chciał uchybić ślubowaniu swemu, zsiadł tedy z konia i podszedł do chorego. Nieszczęśliwy wyciągnął dłoń, on zaś ujął, złożył jąmużnę i ucałował ją. Potem skoczył na siodło i odjechał galopem. Pędził po rozlewnej równi, aż stracił z oczu nędzarza. Trochę zdziwiony, ale zadowolony z siebie, umyślił w kilka dni potem upewnić się w zwycięstwie swoim. Poszedł tedy do szpitala trędowatych i ucałował wszystkich ręce i usta. W ten to sposób przemieniając przykrość w słodycz, sposobił się z męską iście wytrwałością do spełnienia innych ślubów swoich.

III.

NAWRÓCENIE. — OSTATNIE ETAPY.



astał wreszcie czas oznaczony przez Pana nad pany, w którym miał się Franciszek oddać całej porywczosci ducha swego. Nie mógł teraz zwlekać. Nad światem zawisły klęski śmiercionośne, tak, że groziła mu zatrata, gdyby zabrakło lekarza. Zmieniony już do cna w sercu swoim, przechodził Franciszek dnia jednego mimo kościółka św. Damjana, rozpadłego na poły i opuszczonego. Tchnięty duchem, wszedł tam, padł krzyżem przed wielkim krucyfiksem i jął się modlić żarliwie, tak iż rychło porwany zachwyceniem, w innego się zgoła przemienił człowieka. I nagle stała się rzecz niesłychana. Rzeźbiony Chrystus rozwarł malowane usta swoje, przemówił, zwąć go po imieniu, i rzekł mu:

— Franciszku, powiadam tobie, idź i napraw dom mój! Widzisz sam, iż rozpada się w ruinę.

Zdumiony, drżący na całym ciele, długo nie mógł się opanować, belkotał coś w odpowiedzi i, gotów usłuchać, zbierał do tego wszystkie siły.

W owej chwili spłynęło w duszę jego z krzyża miłosierdzie i chwili onej wyrwały się na niej, choć nie na ciele jeszcze, stygmaty Ukrzyżowanego.

Wyszedłszy z kościółka, ujrzał siedzącego na ławce księdza i dał mu garść pieniędzy, dobytą z kalety, mówiąc:

— Racz za to kupić oliwy, messere, tak, by lampa gorzała dniem i nocą przed krucyfiksem. Gdy wyjdą te grosze, przyniosę więcej.

W istocie, w kilka dni później siadł na koń, zabrawszy postaw pięknego, szkarłatnego sukna i ruszył galopem do miasta Foligno. Tam sprzedał prędko i korzystnie, jak zazwyczaj, swój towar, potem zaś konia (co za przedziwny kupiec!), który go przywiózł. Wyzbywszy się w ten sposób kłopotów, jął deliberować nabożnie, co by zrobić z taką sumą pieniędzy. Mierziło go nosić choćby przez godzinę to, co uważał wzgardliwie za kurz gościńca i, chcąc się pozbyć ciężaru, zawrócił drogą do Asyżu, a szybko biegnąc, stanął nieza długo pod kościołkiem św. Damjana.

Widząc, w jak smutnym stanie znajduje się ta świątynia, bliska upadku, uczuł politowanie wielkie. Wszedł, odmówił ze skupieniem pacierz, potem zaś, spotkawszy biednego księdza, ucałował z szacunkiem dłoń jego i wręczył mu całą sumę, tłumacząc szeroko i długo swój zamiar. Zdumiony i olśniony tem nagłym nawróceniem, nie dowierzając własnym uszom, odmówił ksiądz zrazu, podejrzewając, że Franciszek żartuje. Minionego nieledwie dnia widział przecież skandaliczny sposób jego życia i szaleństwa, jakimi prześcigał krewniaków oraz przyjaciół swoich.

Ale Franciszek nalegał, wymownemi słowy dowodził szczerości swych intencji, prosił, błagał i wreszcie wyraził jeno pragnienie, by mu było wolno zostać przy tym kościółku dla służby Pańskiej. Zgodził się pleban, nie przyjął jednak pieniędzy przez wzgląd na rodziców ofiarodawcy, a wówczas Franciszek, jak przystało prawdziwemu pogromcy bogactw, rzucił sakiewkę na przymurek kościoła i oświadczył, że miast złota chce posiadać mądrość, a miast srebra pragnie roztrpności.

Został w kościółku, a tymczasem ojciec szukał go po całym mieście i okolicy, zaniepokojony wielce.

Wkońcu powiedziano mu, gdzie jest, a kupiec, ogarnięty bólem i wzburzony tą nagłą zmianą, ze-

brał przyjaciół i pospieszył do kościółka, gdzie przebywał sługa boży.

Usłyszał Franciszek zdala kroki nadbiegających i ich pogróżki, więc, zostawiając ich na pastwę własnej wściekłości, wpłynął do lochu, przysposobionego już poprzód, i w tej to kryjówce pod domem, o której sam jeden wiedział, przetrwał cały miesiąc. Spożywał od czasu do czasu w ciemności trochę jadła, jakie mu przyniesiono, i modlił się bezustannie, wylewając łzy i prosząc Boga, by usunął prześladowanie, a przez to umożliwił mu dopełnienie ślubów za łaską swoją.

Mimo, że siedział w ciasnej i ciemnej norze, pełen był niewysłowionej, a nowej dlań zgola radości. Pewnego dnia uczuł takie rozradowanie i zapal, że postanowił opuścić kryjówkę i wystawić się mężnie na kłatwy i prześladowanie.

Nie zwlekając, uczynił to. Wstał i wyszedł na świat, zdecydowany walczyć w imię Pańskie pod osłoną tarczy wiary i mając miecz płomiennej nadziei. Ruszył ku Asyżowi, a po drodze wyrzucał sobie bezczynność i tchórzostwo. Zaledwo stanął w mieście, poznali go wszyscy, a przyrównując przeszłość jego do tego, czem był teraz, jeli szydzić i uragać mu, wołając: — Szalony! Szalony! Zwarjował docna! — Rzucano mu pod nogi kamienie i bluzgano nań błotem. Zmienił się zewnętrznie,

wychudł, zmizerniał skutkiem postów i niewygód, a wszystko to przypisywano szaleństwu, jakiemu uległ. Ale cierpliwość wyższa jest nad zuchwalstwo. Głuchy i ślepy na wszystko, zachowując spokój niezwruszony, modlił się sługa boży o przebaczenie dla prześladowców swoich, jako bowiem powiedział jeden z mędrców: „upokorzenie jest otuchą dusz dostojnych.“

Wieść o wydarzeniu obiegła szybko miasto, powtarzano sobie, co uczynił znowu młody Bernardone i jak go wyszydono. Niezadługo dowiedział się o wszystkim ojciec. Wzburzony obelgami, miotanemi na syna przez mieszkańców miasta, porwał się z miejsca i ruszył, nie na ratunek jednak spiesząc, ale w celu pogrążenia syna do reszty. Bez namysłu, nie bacząc, co czyni, porwał go brutalnie za kark, niby wilk jagnię, zawlókł do domu i zamknął bezlitośnie na dni kilka w ciemnej piwnicy. Pewny, że złamie opór jego, po słowach gwałtownych uciekł się do kija i łańcuchów. Ale nie naruszyło to spokoju Franciszka i nie wyczerpało jego cierpliwości. Przeciwnie, tem silniej trwał przy swoim, nie zważając na kajdany i obelgi.

Zmuszony sprawami handlowemi do wyjazdu na czas krótki, zostawił Bernardone syna w więzieniu, a Monna Pika, nie uznając gwałtownych sposobów męża, jęła do posłuszeństwa nakłaniać

syna łagodnemi słowy. Wysiłki jej były daremne, ale, powodowana uczuciem macierzyńskim, zdjęła z syna łańcuchy, tak, że, odzyskawszy wolność, mógł opuścić dom rodzinny. Podziękowawszy Bogu, wrócił Franciszek niezwłocznie na dawne miejsce. Umocniony już teraz i ukojony wycierpianiem prześladowaniem, kroczył dumnie i śmiało śródkiem zdumionych ciągle jeszcze przechodniów.

Niedługo wrócił ojciec, a nie znalazłszy więźnia, dodał grzech do grzechu i obił żonę swoją. Potem, drżąc z gniewu i klnąc w głos, pobiegł tam, gdzie był syn, zdecydowany zabrać go z powrotem lub przynajmniej wygnać z kraju. Ale Bóg nie opuścił swego sługi. Zacerpnąwszy w nim otuchy, posłyszawszy kroki cielesnego ojca swego, stanął przed nim Franciszek odważny i rozradowany, oświadczając, że za nic w świecie znosić nie chce bicia jego i kajdan, pozatem zaś gotów jest na wszystko przez miłość Chrystusa.

Nie mogąc odzyskać syna, umyślił Bernardone dostać przynajmniej z powrotem pieniądze, które sługa boży przeznaczył na żywienie biednych i odbudowę kościółka. Pobiegł na ratusz i wezwał konsulów, by mu pomogli odebrać pieniądze, skradzione w domu jego. Widząc wzburzenie znakomitego obywatela, wysłali konsulowie herolda do Franciszka, rozkazując mu stanąć przed trybunałem.

Ale on odpowiedział, że, będąc człowiekiem wolnym z łaski Boga i sługą Wszechmocnego, nie podlega władzy konsulów. Konsulowie wzdragali się przed użyciem przemocy i powiedzieli ojcu, że w istocie, jako sługa Kościoła, nie podlega ich jurysdykcji. Wówczas Bernardone zaniósł skargę do biskupa, ten zaś, będąc mężem taktownym i mądrym, wezwał Franciszka w formie właściwej, by stanął przed nim i wyznał, co ma na obronę swoją.

— Pójdę ochotnie do jego eminencji! — oświadczył posłańcom Franciszek — Jest on moim ojcem i władcą duchowym.

Udał się zaraz do biskupa, a ten, przyjąwszy go z radością, powiedział mu:

— Ojciec twój rozsierdził się strasznie i oburzył. Jeśli chcesz służyć Bogu, zwróć mu te pieniądze, które zostały może nawet źle nabyte. Bóg nie domaga się, byś odbudowywał kościoły zapomocą grzechu ojca twego. Odebrawszy własność swoją, uspokoi się. Zaufaj Bogu, synu mój, postąp, jak przystoi mężczyźnie, i nie bój się. Bóg ci dopomoże i dostarczy obficie środków na dopełnienie dzieła twego.

Umocniony temi słowy, pobiegł służka boży po pieniądze, a wróciwszy z nimi, rzekł:

— O panie dostojny! Oddam ojcu memu nie-tylko pieniądze, ale zwrócę też z radością suknie, które mam od niego.

I oto pośrodku sali biskupiego pałacu w obliczu biskupa, ojca, oraz mnogich świadków zdjął odzież, położył ją na ziemię, na to rzucił worek z pieniędzmi i nagi całkiem gotów był wybiec na ulicę.

— Słuchajcie wszyscy! — zawołał. — Dotąd ojcem swym zwałem Piotra Bernardone; ponieważ jednak chcę służyć jeno Bogu wyłącznie, zwracam mu pieniądze, których tak pożąda. Zwracam mu także suknie, które mi kupił, albowiem odtąd pragnę mówić: — Ojcze mój, który jesteś w niebie, nie zaś: — Ojcze mój Bernardone!

Przekonano się w tej chwili, że Franciszek nosił włosieńnicę pod barwnymi szatami.

Drżący z wściekłości i z bólu jednocześnie, ojciec podjął z ziemi pieniądze, oraz suknie syna i poszedł z tem do domu, ale świadkowie onego zajścia oburzeni byli, że nic nie zostawił Franciszkowi i jeli mu okazywać żywe współczucie. Olśniło biskupa to męstwo duszy i ten zapal młodzieńca, objął go ramionami i nakrył płaszczem własnym. Zrozumiał, że Franciszek działał pod natchnieniem boskiem i domyślił się w tem wszystkim, na co patrzył, jakiejś wielkiej tajemnicy.

Była właśnie zima, toteż biskup poprosił o odzież ogrodnika swego, który dał Franciszkowi stary płaszcz. Pół nagi jeszcze, ale wolen świętowych żądz, wyruszył Franciszek spokojnie z miasta, by mimo zimna wrócić do pustelni swojej i nad-słuchiwać dalej w cichości głosu, dolatującego z góry. Kroczył przez las, wyśpiewując na ciele gardło po francusku hymny ku czci Boga, aż tu nagle wypadli z gęstwiny rozbójnicy i rzucili się nań, wołając:

— Coś ty za jeden? Mów!

Służka boży wyrzekł z całą ufnością te prorocze słowa:

— Jestem heroldem wielkiego Króla!

Oni zbili go jednak, zepchnęli do głębokiego rowu ze śniegiem i odeszli, mówiąc na pożegnanie:

— Siedź tam sobie, nędzny głuptaku, heroldzie boży!

Franciszek zaczął kręcić się, wiercić, aż w końcu wylazł ze śniegu na brzeg rowu, potem zaś, uniesiony ogromną radością, jał jeszcze głośniejsze wyśpiewywać ku czci Boga, budząc echa leśne.

Niedługo dotarł pod bramę klasztoru, zapukał i, jak żebrak, poprosił o jałmużnę. Ale przyjęto go źle i wzgardliwie, jak natrętnego żebraka, nie dostał nawet jedzenia, a tylko kuchcik ulitował się nad nim i dał mu koszulę ze zgrzebnego płótna.

Pozatem żaden z zakonników nie obdarzył go starą odzieżą. Bez gniewu, zmuszony atoli koniecznością, ruszył w dalszą drogę w stronę Gubbio. Znalazł tam schronę u dawnego przyjaciela i mógł przyodziać się skromną tuniką, jak przystało biedaczynie Chrystusowemu. Rozmówiony w upokorzeniach, wstąpił Franciszek w drodze do kościołka św. Damjana do pobliskiego szpitala trędowatych. Tam umywał im nogi, opatrywał wrzody, ocierał ropę z ran i całował ich ciała z przedziwną nabożnością, przystojną przyszedłemu lekarzowi Ewangelji.

Umocniony na duchu tą pokorą chrześcijańską, przypomniał sobie teraz rozkaz mówiącego krucyfiks: — Napraw kościół mój! — Wrócił tedy do Asyżu, chcąc zebranią zdobyć środki materialne dla dopełnienia rozkazu boskiego. Jął śpiewać hymny nabożne, jak człowiek pijany duchem bożym, i wędrował tak z placu na plac i z podwórza w podwórze. Ile razy skończył hymn, prosił o kamień, potrzebny na odbudowę kościołka św. Damjana, mówiąc:

— Kto da jeden kamień, otrzyma jedną nagrodę, kto da dwa, otrzyma dwie, a kto da trzy, trzy nagrody pozyszcze sobie.

Mówił te słowa i inne jeszcze, nader proste, w zapale duszy swojej. Wybrany przez Boga dla prostoty i niewinności swojej, nie lubował się zgola

w uczonych wyrażeniach mądrości ludzkiej. Chciał we wszystkim pozostać prostym. Śmiali się zeń liczni słuchacze, biorąc za obłąkanego, inni zaś płakali z współczucia i podziwu, iż tak rychło wyzwolony został z wszelakich żądz oraz ułud tego świata i że upoił się tak wielce miłością Boga.

Trudno byłoby opowiedzieć, jak długo i ciężko pracował, nim dokonał dzieła swego. Delikatny, rozpieszczony w domu rodzicielskim, dźwigał teraz kamienie na plecach, rozmyślnie jeszcze przymnażając sobie prac i trudów, by tem lepiej służyć Bogu. Pleban kościołka litował się nad nim bardzo i, chociaż był sam biedny wielce, czynił, co mógł, by Franciszkowi nie zbrakło przynajmniej dobrej strawy. Wiedział od samego Franciszka, że dawniej, żyjąc w świecie, spożywał potrawy wykwintne, a tak lubił słodczy i ciastka, iż dla nich poświęcał wszystko inne. Spostrzegł dnia pewnego Franciszek, co dlań czyni pleban, i, wchodząc w siebie, rzekł tak:

— Żaliż znajdziesz, Franciszku, gdzieindziej na świecie księdza, któryby ci okazywał tyle względów? Żaliż życie, jakie dziś wiesz, jest życiem wydziedziczonych? Jako żebrak, chodząc z miseczką od drzwi do drzwi, winienes zbierać jadło bylejakie i tak się odżywiać dobrowolnie, przez miłość dla tego, który urodził się biednym, żył w biedzie, po-

został nagi i biedny aż do końca męki swojej, a na koniec legł, nie we własnym nawet grobie.

W kilka dni później, wstawszy rano, wziął miskę i jął krążyć od drzwi do drzwi. Rzucano mu różne ochłapy, a ci, którzy wiedzieli, jak niedawno uczładował, dziwowali się tej zmianie. Podniósłszy do ust to jadlo, uczuł wstręt, nie nawykł bowiem do tego. Przewyciężył się jednak i wydało mu się, że nie miał dotąd w ustach równie smacznej potrawy. Zaraz też poprosił zacnego plebana, by mu jedzenia nie przyrządzał ani nie kazał przynosić.

Patrząc na tak głęboki upadek syna, niepokoił się i cierpiał bardzo ojciec Franciszka, bowiem kochał go gorąco w duszy. Wstydził się i rozpaczał, iż jest tak blady, wychudły i napoły nieżywy skutkiem nędzy i chłodu. Pod wpływem tych uczuć rzucał mu klątwy za każdym spotkaniem. Chcąc zrównoważyć złorzeczenia ojcowskie, przybrał sobie Franciszek za ojca niejakiego Alberta, człowieka bardzo biednego, którym wszyscy gardzili, i rzekł mu:

— Chodź zawsze ze mną, podzielę się z tobą każdą jałmużną, gdy zaś napotkamy ojca mego, który mnie będzie wyklinał, rzeknę ci: — Błogosław mnie, ojciec mój! — Ty będziesz mnie wówczas błogosławił i całował za niego. — Błogosła-

wiony przez nędzarza, mawiał odtąd sługa boży do ojca swego: — Żaliż nie wierzysz, że Bóg mi zesłał ojca, który mnie błogosławi wbrew klątwom twoim?

Ludzie, którzy drwili zrazu z Franciszka, popadli w głęboką zadumę, widząc, z jaką cierpliwością znosi wzgardę, obelgi i nędzę. Pewnego dnia zimowego, kiedy, okryty ledwo łachmanami, prosił usilnie jałmużny na swój kościół, przeszedł mimo niego rodzony brat. Spozrzęglszy Franciszka, rzekł z ironją do jednego ze współobywateli:

— Powiedzcie Franciszkowi, by mi sprzedał unęję potu swego.

Usłyszał to sługa boży i odparł z radością wielką w języku francuskim:

— Pot ten sprzedam chętnie, ale bardzo drogo dostojnemu panu!

Mozolił się strasznie i bez ustanku nad odbudową kościółka, ponieważ zaś chciał utrzymywać ciągle światło lamp, chodził nieraz po mieście, żebrząc oliwy. Razu pewnego mijał dom, w którym zebrani byli wokół stołu dawni znajomi i grali w karty. Ujrawszy ich, zawahał się żebrać w obliczu wszystkich i poszedł dalej. Ale zaraz uświadomił sobie, że, czyniąc tak, zgrzeszył. Zawrócił spiesźnie, wszedł i, stanąwszy przed graczami, złożył wyznanie, iż popełnił grzech, wstydząc się prosić

ich o jałmużnę. Potem zaś przeszedł śmiało salę, prosząc w imię Boga o datek na oliwę do lamp kościelnych.

Pracując wraz z innymi robotnikami nad odbudową, uniesiony radością duszy, wzywał głośno mieszkańców i przechodniów, wołając:

— Chodźcie wszyscy i pomagajcie mi w odbudowie kościoła tego!

Kościółek św. Damjana była to budowla starożytna i, jak wiemy już, chyła się do upadku. Odrestaurował ją jednak Franciszek z pomocą Wszechmocnego w krótkim czasie. Było to miejsce święte, obrane przez Boga, i tu miała powstać za przyczyną świętego męża w siedm lat później nowa, pełna chwały religja oraz zakon Biednych Kobiet i Świętych Dziewic.

IV.

PIERWSI UCZNIOWIE.



kończywszy odbudowę kościółka św. Damjana, wziął Franciszek odzież zakonną, ujął kij w rękę, wzuł trzewiki i przepasał się pasem skórzanym. Potem ruszył do innej miejscowości pod Asyżem w celu odbudo-

wy drugiego kościółka, leżącego niemal w gruzach. Pracował wytrwale i dokazał swego w sposób doskonały. Stamtąd przeniósł się do wioski, nazwanej Porejunkula, gdzie w czasach dawnych wzniesiono kaplicę ku czci Marji, Matki Bożej. Podówczas była ona pusta i zaniedbana wielce. Widząc, w jak smutnym jest stanie, uczuł żal ogromny (gdyż pałał zawsze nabożeństwem do Matki Dobroci) i zachodził tam często.

Nie dość mu jednak było już teraz, że nosi

habit mniszy, kij, sandały i pas. Pewnego dnia wysłuchał ewangelji, w której była mowa o rozszlaniu przez Chrystusa uczniów dla głoszenia słowa bożego. Po nabożeństwie uprosił Franciszek księdza, by mu wytłumaczył te słowa. Wciągu opowiadania dowiedział się, że uczniowie nie mieli posiadać złota, srebra ni miedzi nawet, iść w drogę bez sakwy, chleba, kija i sandałów w jednej jeno szacie, poprzestając na głoszeniu Królestwa Bożego i wzywaniu do pokuty.

— Tego to właśnie szukałem! — zawołał Franciszek. — Tak czynić chcę i dokonam postanowienia, poświęcając mu wszystkie siły serca mego!

Nie posiadając się z radości, przystąpił mąż święty niezwłocznie do wprowadzenia w czyn tego, o czym się dowiedział. Zzuł trzewiki, rzucił kij, a pas zastąpił sznurem, zostając w jednej jeno szacie.

Potem jął z zapalem niezmiernym głosić słowo boże oraz wzywać do pokuty, a słuchacze dziwowali się prostocie słów jego i pięknu duszy. Stał się zgola innym niż dotąd człowiekiem, patrzył w niebo, a gardził ziemią. Ile razy rozpoczynał kazanie, nim zaczął głosić ewangelję, błagał o pokój, mówiąc: Pokój wam! Ciągłe i zawsze głosił pokój mężczyznom i kobietom, słuchającym go i przechodzącym mimo, a współobywatele i różni dobrzy lu-

dzie, dotąd mało skłonni do pokoju, nawracali się szczerem sercem i stawali synami pokoju, spragnionymi wiecznego zbawienia. Prawda tej prostej i czystej nauki Franciszka przejawiała się coraz to jaśniej z dniem każdym.

W dwa lata po jego nawróceniu dwaj rodacy, pociągnięci przykładem, przystali doń jako uczniowie. Pierwszym był Bernard de Quintavalle, który, przyszedłszy potajemnie pewnego dnia zwierzyć mu poufnie swój zamiar, poprosił, by go odwiedził w mieszkaniu. Franciszek złożył korne dzięki Bogu, nie miał bowiem jeszcze dotąd towarzysza, a radość jego była tem większą, że znał messera Bernarda jako człowieka wielkiej, budującej cnoty. Umówionego wieczoru udał się tedy do jego domu, wielce uniesiony w duchu, i całą noc spędzili na rozmowie. Pomiedzy innemi sprawami powiedział mu Bernard:

— Jeśli ktoś otrzymał od pana swego pewną ilość rzeczy, a przechowując je długo, nie chce tego już czynić, co ma zrobić z tem, Franciszku?

— Najlepiej będzie, jeśli zwróci te rzeczy panu swemu! — odparł Franciszek.

— Otóż właśnie postanowiłem porzucić wszystkie dobra doczesne dla miłości Boga, który mi je dał, i to w sposób, jaki ty uznasz za najlepszy.

— Dobrze! — rzekł Franciszek. — Pójdziemy jutro do kościoła o świcie, a tekst ewangelji świętej wskaże nam, co czynić mamy.

Wstali równo z dniem i udali się, razem z trzecim, imieniem Piotr, który także chciał przystać do nich, do kościoła św. Mikołaja, przy głównym placu Asyżu. Weszli, pomodlili się, ale, będąc prostaczkami, nie mogli sobie przypomnieć ewangelji, dotyczącej wyrzeczenia się dóbr doczesnych. Jęli tedy błagać Boga, by objawił swą wolę za pierwszym otwarciem księgi. Po modlitwie wziął Franciszek księgę, przykląkł przed ołtarzem i otworzył ją. Wola boża ukazała mu się zaraz jawnie i przeczytał:

„Jeśli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj wszystko co posiadasz i rozdaj ubogim, a posiedziesz skarb w niebiesiech.“

Uradowany wielce, złożył Franciszek dzięki Bogu, ponieważ jednak czcił gorąco Tróję Świętą, zapragnął mieć trzy znaki dla większej pewności. Otworzył tedy księgę poraz drugi i trzeci.

Za drugim razem odczytał:

„Nie będziecie mieć w drodze nic, ni kija, ni sakwy, ni chleba, ni pieniędzy, ni podwójnej odzieży.“

Za trzecim zaś razem znalazł te słowa:

„Kto chce iść za mną, niech się wyrzeczy samego siebie, a wziąwszy krzyż swój na barki, idzie. Bowiem, kto dla mnie straci żywot, odnajdzie go. Cóż człowiekowi, jeśli świat cały pozyszcze, a utraci duszę swą?“

Uszczęśliwiony Franciszek przekonał się trzykrotnie, że Bóg pochwała zamiary jego. Rzekł tedy obu towarzyszom swoim, Bernardowi i Piotrowi:

— Oto życie nasze i reguła nasza, o bracia moi, a obowiązywać będzie każdego, kto zechce przystąpić do nas. Idźcież tedy i czyńcie, jakoście słyszeli!

Messere Bernard, który był bogaczem wielkim, sprzedał niezwłocznie całe mienie i, zebrawszy wielką sumę pieniędzy, rozdał ją pomiędzy biednych. Piotr uczynił także wedle majątności swej zadość woli bożej. Gdy już wyzbyli się wszystkiego, wzięli odzież, jaką nosił Franciszek po zrzuceniu szaty pustelniczej, i żyli wraz z nim od tej pory wedle przepisów św. Ewangelji, wskazanej im przez Boga.

W chwili, kiedy messere Bernard rozdzielał na placu asyjskim pieniądze pomiędzy biednych, przybiegł doń spiesźnie pewien ksiądz, imieniem Sylwester, od którego Franciszek kupował kamienie na odbudowę kościółka św. Damjana.

Był to człowiek chciwy wielce, przeto, widząc taką rozrzutność, jął wołać:

— Franciszku! Franciszku! Winienesz mi jeszcze za kamienie kupione!

Słyszając tę niesłuszną skargę, zbliżył się Franciszek do Bernarda, zanurzył rękę w zwoju płaszcza, gdzie trzymał pieniądze i, wyciągnawszy pełną garść, cisnął Sylwestrowi. Potem powtórzył to raz jeszcze, pytając:

— Żaliz pokryta jest już należytość twoja, messere?

— Pokryta, zupełnie pokryta! — odparł uszczęśliwiony Sylwester i wrócił do siebie.

W kilka jednak dni potem jął Sylwester, za natchnieniem Boga, dumać nad tem, co zaszło, i rzekł sobie wkońcu:

— Nikczemnie postąpiłem, zaprawdę! Czemuż, będąc starcem, łaknę tych dóbr doczesnych, które rozrzuca i któremi gardzi ten młodzieniec dla miłości Boga?

Następnej nocy ujrzał we śnie krzyż ogromny, sięgający niebiosów. Podstawą tkwił on w rozwartych ustach Franciszka, a ramionami dotykał przeciwległych stron świata. Zbudziwszy się, zrozumiał ksiądz, że Franciszek jest przyjacielem i służą bożym, oraz, że zapoczątkowana religijność ogar-

nie niedługo świat cały. Uczuł strach boży, jął czynić pokutę w mieszkaniu swoim, potem zaś wstąpił do powstającego właśnie zakonu i żył w nim przykładowie.

Sługa boży nie miał wraz z towarzyszami swymi żadnego przytułku. Przenieśli się pod rozwalony napoły i opuszczony kościółek N. P. Marji w Porcjunkuli i zbudowali opodal chatę, w której mogli od czasu do czasu spędzić noc. Niedługo przyłączył się do nich czwarty Asyżanin, imieniem Egidjusz. Klęcząc nabożnie, prosił z wielkim szacunkiem Franciszka o przyjęcie do zakonu, a ten, widząc jego przejęcie, uczynił to ochotnie. Błogosławiony założyciel zakonu, Franciszek, podtrzymywany codziennie łaską i pociechami Ducha Świętego, poświęcał cały czas na wpajanie uczniom przepisów życia świętobliwego i coraz to nowych cnót, a przede wszystkim świętego Ubóstwa i Prostoty, które pozwalają kroczyć prawą ścieżką krokiem pewnym i niezachwianym.

Pewnego dnia, przejęty do głębi dobrodziejstwami, doznanemi już od Pana, chciał zasięgnąć odeń nowych rad, dotyczących przyszłości; udał się przeto w miejsce samotne, gdzie odprawiał modły swoje. Powtarzał raz poraz te słowa: — Panie, Panie! Bądź miłościw grzesznikowi! — I nagle radość niewysłowiona a słodka ogarnęła go, spły-

wając powoli aż na samo dno serca. Omal nie zemdlał, ale opanował wzruszenie oraz obawę grzechu, która go dotąd trapiła, czując, iż dostąpił w tej chwili zupełnego odpustu i że odrodzony jest w szczęściu i ufności. Potem wydało mu się, jakby, otoczony światłością, wzlatał ponad samego siebie, a umysł jego wezbrał taką pełnią, że widział jasno nieskończoność przyszłych wydarzeń. Rozkosz owa zagasła wraz z światłością, ale był tak odnowiony na duszy, jakby się stał innym człowiekiem. Po powrocie rzekł wesoło braciom:

— Nabierzmy otuchy w Bogu! Mało nas jeszcze, ale nie smućmy się i nie trwóźmy prostoty swojej! Bóg mi ukazał, zaprawdę, że nas pomnoży w mnóstwo niezmierne i rozsiejie po wszystkich krańcach świata. Powiem wam, com widział, chociaż wolałbym to zachować dla siebie, ale miłosierdzie i wzgląd na dobro wasze każą mi to uczynić. Ogromne korowody ludzi szły ku nam, pragnąc przyjąć reguły życia świętego zakonu naszego. Dotąd brzmia mi w uszach kroki tych rzesz, dotąd widzę gościńce, pokryte różnorodnymi tłumy, zmierzającymi do kraju naszego. Byli tam Francuzi, Hiszpanie, Teutonowie i Anglicy, a za nimi snuły się inne narody całego świata.

Słowa te napęłniły braci zbawienną radością, a mąż święty rzekł im jeszcze:

— Objawię wam oto jeszcze, bracia moi, prawdę przyszłości, a to w tym celu, byśmy wszyscy wdzięczni byli Bogu za łaski jego, oraz wiedzieli, jak postępować z bracią zakonną teraz i w przyszłości. W początkach naszego zakonu spożywać będziemy owoce słodkie i wonne, potem dostaną nam się inne, goryczą przepojone i niestrawne, mimo, iż piękne z pozoru. Zaprawdę, powiadam wam, Bóg rozpleni nas bujnie, a stanie się nam jako rybakowi, który, rzuciwszy sieci w morze lub jezioro, uzyskał połów tak obfity, że go zabrać do domu nie może w łodzi. To też musi czynić wybór, i odkładając co większe i lepsze, inne rzuca z powrotem w wodę.

Tak to dnia owego zstąpił na Franciszka duch proroczy.

Niedługo potem zebrali się czterej bracia i, czyniąc radosne dzięki Duchowi Świętemu, postanowili, że dla większej korzyści pójdą w różne strony. Franciszek ruszył wraz z Egidjuszem do Marchji Ankońskiej, dwaj zaś bracia obrali inny kierunek. Chodząc po targach i jarmarkach, radowali się w Panu. Mąż święty wyśpiewywał po francusku głosem czystym i słodkim ku czci Boga, błogosławiąc i oddając cześć Wszechmocnemu. Obaj byli tak weseli, jakby posiadli skarb wielki na bankiecie ewangelicznym Pani Biedy, dla miłości, dla której

wzgardzili dobrowolnie dobrami ziemskimi, jakby to były śmieci.

Sługa boży nie zaczął jeszcze kazać do ludu, ale, chodząc po miastach i zamkach, nie przestawał nakłaniać wszystkich do pokoju, miłości, bojaźni bożej i pokuty za grzechy. Także i brat Egidjusz przemawiał do ludzi, napominając, by wierzyli tym słowom dla własnego dobra swego. A słuchacze mówili pomiędzy sobą:

— Cóż to są za mnisi i coż to nam opowiadają?

Bowiem w czasach owych wygasła wszędy niemal miłość boża, a ścieżka pokuty opustoszała, tak, że idących nią brano za szaleńców. Pokusy ciała, żądze światowe, pycha rozpanoszyły się, jako trzy zarazy, po całej ziemi.

Rozmaicie sądzono o mężach ewangelicznych. Jedni zwali ich pijakami lub obłąkanymi, inni zaś przeczyli temu, mówiąc:

— Zaprawdę, albo są to sprzymierzeńcy Boga, ile że dążą do najwyższej doskonałości, albo ludzie upadli zgola, z rozpaczą oddani głodowi, bosi i okryci brudnymi lachmany.

Jednak pomimo, że przykładem swego życia poruszyli niejednego, nikt jeszcze nie szedł w ich ślady. Kobiety uciekały przed nimi zdala, sądząc, iż są ogarnięci szaleństwem lub chorobą jakowąś. Tak

przeszedłszy całą prowincję, wrócili do miejscowości, zwanej Santa Maria.

W kilka dni potem pojawili się trzej Asyżanie, Sabbatino, Morico i Giovanni di Capello, prosząc o przyjęcie w poczet braci, a Franciszek w sposób skromny i życzliwy uczynił zadość ich pragnieniom. Jęli chodzić po ludziach, prosząc jałmużny, ale ich gromiono i obsypywano wyrzutami, iż, postradawszy mienie własne, żyć chcą z dorobku innych. Byli głodni i zapoznani. Rodzice także byli przeciw nim, a mieszkańcy miasta mieli ich za głupców wielkich, jeszcze się bowiem nie zdarzyło chyba, by ktoś rzucił własne mienie poto, by chodzić od drzwi do drzwi po żebrach.

Biskup Asyżu, Gwido, którego rad zasięgał często Franciszek, życzliwy dlań bardzo, rzekł mu jednak pewnego dnia:

— Zaprawdę, życie wasze ciężkie jest i twarde. Jakże można nie posiadać nic na świecie?

Na to odparł mąż święty:

— Messere! Gdybyśmy posiadali jakoweś mienie, trzebaby nam było broni dla ochrony, stąd atoli rodzą się wszelakie spory i zatargi, które na różne sposoby niszczą miłość bliźniego i Boga. Dlatego to nie chcemy posiadać dóbr ziemskich.

Ta odpowiedź spodobała się wielce biskupowi. Ten sługa boży, Franciszek, pogardzał tak bardzo

wszelkimi dobrami znikomemi, że w każdej regule swojej na pierwszym miejscu stawiał zawsze święte ubóstwo. W jednej z nich powiedział o pieniądzach:

— Baczmyż, by nie utracić królestwa niebieskiego za taki drobiazg. Natrafiwszy gdziekolwiek na pieniądze, gardźmy niemi, uważając je za kurz gościńca, który depcą stopy nasze.

W tym to czasie wezwał Franciszek, natchniony łaską Ducha Świętego, sześciu braci swych i rzekł im:

— Zważmyż, bracia drodzy, że powołaniem naszym z miłosierdzia bożego jest nie tylko zbawienie własne, ale zbawienie wielkich rzesz ludzi. Idźcież tedy w świat, nakłaniając przykładem własnego życia i słowem do pokuty za grzechy i przestrzegania przykazań bożych. Nie obawiajcie się, że was uznają ludzie za głupich i dziecinnych. Głoście wszędzie nieugięte skruchę, dufając zwycięzcy świata Bogu, który przez was mówi, i nakłaniając do nawrócenia i posłuszeństwa rozkazom Jego. Ludzie szczerzy, dobrzy i łagodni przyjmą radośnie was i słowa wasze, większa jednak liczba podejrzliwych, pysznych i bluźniących przygani wam i stawia wam oni opór. Postanówcież w sercach waszych znosić wszystko cierpliwie i kornie!

Przeraziły braci te słowa, a Franciszek dodał:

— Nie żywcie obawy, w czas bowiem niedługi przyłączy się do was moc dostojników i ludzi wysokiego rodu, by kazać królom, książętom i mnogiej rzeszy. I nawróci się wielu do Pana, który rozpleni i rozmnoży rodzinę swoją po całym świecie.

Umocniwszy braci słowem takim, pobłogosławił ich sługa boży, oni zaś poszli cicho, wiernie pełniąc rady jego. Napotkawszy kościół lub krzyż, pochylali głowy ze czcią i mówili:

— Wielbimy cię i cześć ci oddajemy, o Chryste, przez wszystkie kościoły i krzyże świata, albowiem męką swą świętą odkupiłeś grzechy ludzkości.

Wszyscy niemal, którzy ich ujrzeli, dziwowali się ubiorowi ich i obyczajom, tak odmiennym zgoła, i brali ich za dzikich. Oni zaś, gdziekolwiek weszli, w miastach, po zamkach, domach czy zagrodach, głosili pokój, nakłaniając, by się bano Boga, kochano Stworzyciela i chowano przykazania jego. Jedni słuchali chętnie, inni szydzili, przeważnie jednak zarzucano ich pytaniami, kim są i do jakiego zaliczają się zakonu. Trudno im było nieraz zaspokoić tę ciekawość, powtarzali więc tylko, że są biednymi pokutnikami z Asyżu, a zakon ich nie jest jeszcze odrębnym zgromadzeniem religijnem.

Ludzie niektórzy uznawali ich za obłudników, głupców, a czyniąc na nich oszczercze donosy, zamykali przed nimi, jak przed złodziejami, domy

swoje. Nieraz też w wielu miejscowościach znosić musieli obelżywości, a nocowali pod bramami kościołów i domów. Jedni obrzucali ich błotem, drudzy wtykali do rąk kości, namawiając do gry, a niektórzy chwyтали z tyłu za kapuzy i zarzucali ich sobie na plecy, nosząc tak i śmiejąc się. Prócz tego dokuczał im bardzo często głód, pragnienie, chłód i brak odzieży. Powolni jednak radom Ojca swego, trwali w spokoju, nie poddając się smutkowi i nie narzekając.

V.

PAPIEŻ INOCENTY III.



idząc, że co dzień wzrasta liczba uczniów, napisał Franciszek dla siebie i braci swoich, obecnych i przyszłych, regułę życia, nader prostą i w niewielu zawartą słowach. Użył wyrażen św. Ewangelji, której doskonałość uwiel-

biał, dodając od siebie to tylko, co było konieczne dla praktyk świętego bractwa. Wszystko zawarł w dwudziestu krótkich artykułach.

Oto imiona pierwszych dwunastu Braci Mniejszych, czynnych naśladowców Chrystusa, pełniących czystą ewangelję ad litteram, na których, jako kamieniach węgielnych, spoczął zakon.

Pierwszym był błogosławiony Franciszek, wódz, założyciel i pierwszy zawiadowca zakonu. W dwa lata przyłączył się doń brat Bernard da Quinto-

valle, trzecim był brat Piotr, czwartym Giglio, piątym Sabbatino, szóstym Morico, siódmym Giovanni da Capello, ósmym Filippo Lungo, jako pierwszy wizytator zgromadzenia Biednych Kobiet, dziewiątym Giovanni da San Constantio, dziesiątym brat Barbaro, jedenastym Bernardo della Viti, a dwunastym Agnolo di Tancredo.

Zbierali się oni w owym czasie pod Asyżem, w miejscowości Rivo Torto. Stała tam opuszczona szopa; w cieniu jej żyli i w niej szukali schronienia przed wichrem i deszczem ci mężni ludzie, gardzący wspañiałemi budynkami, pamiętni słów Franciszka, że „łatwiej wznieść się do nieba z ubogiej chaty, niż z pałacu.“ Tutaj rozmawiali z Ojcem swoim jako synowie i bracia, nie zważając wcale na nędzę, niedostatek i brak chleba, poprzestając na odpadkach i okruszynach, wyżebranych z trudem na ulicach Asyżu. Szopa była tak szczupła, że ledwo mogli, będąc razem, sięść w niej lub leć na odpoczynek. Nie szemrali jednak i nie skarżyli się, bo pokój serca i pełnia duszy dawały im cierpliwość. Codziennie, a raczej co chwila badał Franciszek pilnie samego siebie i brać swoją, z troskliwością wielką tępiąc wszelkie niezdrowe porwy i oznaki słabości. Trwał przy surowości reguły, pilnie bacząc na wszystko. Jeśli uczuł jakoś pokusy cielesne, zanurzał się zimą w rowie,

pełnym lodowatej wody, i nie wychodził, dopóki płomień żądzny nie zagaśł, a bracia naśladowali go w tem.

Czasu tego przechodził przez Asyż z wielkim hałasem i paradą cesarz Oton, udając się do Rzymu po koronę cesarską. Szopa stała tuż przy drodze, którą sunął wspañiały korowód, ale Franciszek nie wyszedł, by mu się przyjrzeć, i zabronił tego braciom, z wyjątkiem jednego, którego posłał z poleceniem, by, stanawszy przed cesarzem, objawił mu śmiało, iż chwała jego długo nie potrwa. Wielki ten święty żył w sobie samym, przechadzał się po rozległej przestrzeni własnej duszy, sposobiąc ją na mieszkanie godne Boga, a wrzawa świata nie dochodziła do uszu jego. Żaden głos zmącić nie mógł wielkiej myśli, którą był przejęty. Tkwiło w nim już dostojeństwo apostolskie, mógł tedy odmówić względów swych królom i książętom tego świata.

Ciasnota pomieszczenia wpływała poniekąd ujemnie na spokój dusz braci, przeto Franciszek usunął to, wypisując na ścianach imiona ich, by każdy wiedział, gdzie ma odprawiać modły i spać.

Liczba uczniów Franciszka wzrastała ciągle i załugi ich rosły także, przeto rzekł on im pewnego dnia:

— Miłosierdzie boże rozmnaża rodzinę naszą,

pójde przeto do matki naszej, Kościoła, i uwiadomię Ojca Świętego o tem, co uczynił już dotąd Bóg dla nas biedaków, a on zakończy to, cośmy rozpoczęli.

Spodobały się braciom te słowa i wyruszyli razem do Rzymu. W drodze rzekł im Franciszek:

— Uczyńmy jednego z pośród siebie przewodnikiem, niejako wikarjuszem Chrystusa Pana. Będziemy tam spoczywać i nocować, gdzie każe.

Tak szli ochoczo, powtarzając słowa ewangelji i nie myśląc o niczem, prócz chwały bożej i świętości dusz swoich. Modlili się też często, a Pan przyspasabiał im wszędzie gospody i zaopatrywał w rzeczy niezbędne.

Przebywał naówczas w Rzymie czcigodny biskup asycki Gwido, który sprzyjał bardzo braciom. To też, gdy go odnaleźli, przyjął ich serdecznie. Ale zaniepokoiło go jednocześnie pojawienie się ich w Rzymie, sądził bowiem, że opuścić chcą ojczyznę swą, gdzie Bóg z ich pomocą dokonał już tyle dobrego. Pragnął zatrzymać w djecezji tych ludzi przykładnych i czystych, czując ich wielką wartość. Gdy atoli usłyszał, poco przybyli i jakie mają zamiary, uradował się wielce i przyrzekł im pomoc i poparcie swoje. Biskup Gwido był bliskim znajomym pewnego kardynała, biskupa sabińskiego, nazwiskiem Giovanni di San Paolo, który był życzliwie usposobiony dla tych sług bożych, do-

wiedziawszy się już poprzód od Gwidona o życiu Franciszka i działalności towarzyszy jego. Powiadomiony o ich przybyciu, przyjął wszystkich łaskawie i przyjaźnie. Spędzili dni kilka u niego, a kardynał tak był zbudowany ich słowami i sposobem życia, tak się zachwycił ich cnotami, że poprosił, by go objęli modłami i przyjęli w poczet swój. Wypytałszy potem Franciszka o powód przybycia i poznawszy zamiary jego, przyobiecał przedstawić go Ojcu Świętemu.

Poszedł tedy i stanąwszy przed Namiestnikiem Chrystusa Pana, Inocentym III., ozwał się w te słowa:

— Napotkałem człowieka wielkiej doskonałości, który żyje ściśle według ewangelji świętej i we wszystkim zachowuje doskonałość ewangeliczną. Sądzę, iż go Bóg obrał za narzędzie dla naprawy dusz ludzkich i świętego Kościoła powszechnego.

Zaciekawiony wielce dostojny papież polecił kardynałowi przyprowadzić Franciszka.

Dnia następnego stanął sługa boży przed głową Kościoła i wytłumaczył papieżowi swe zamiary.

Mąż ten, z charakteru bardzo zamknięty w sobie i z pozoru chłodny, wysłuchiwał prośby Franciszka, przyjął ją oficjalnie do wiadomości, pobłogosławił jemu oraz towarzyszom jego i, dodawszy otuchy na dalszą pracę, rzekł:

— Idź z Bogiem, bracie, i głos pokutę wedle natchnienia bożego. Gdy Wszechmocny udzieli wam nowych łask swoich i rozmnoży bractwo wasze, wrócisz do mnie, a wtedy zatwierdzę cię i zajmę się zgromadzeniem twojem goręcej jeszcze.

Potem umyślił sobie, że wybada, czy jest wola Boga, by otoczył bractwo żywszą opieką, i dodał te słowa:

— Synowie drodzy! Wasz sposób życia wydaje mi się bardzo surowym i przykrym, mimo że, jak widzę, nie ustępujecie krokiem z tej drogi. Myśleć należy atoli o tych, którzy zechcą wstępować w wasze ślady. Żaliż nie zniechęci ich ta trudna reguła?

Tak spytał, a potem, widząc stałość wiary tych ludzi, którzy kotwicę nadziei mieli w Chrystusie, rzekł Franciszkowi:

— Idź, bracie, i proś Boga, by ci objawił, czy to, czego się domagasz, zgodne jest z jego świętą wolą. Poznawszy tę wolę, przychylimy się do prośby twojej.

Zaprawdę, we wszystkich sprawach Bóg był z Franciszkiem! Kilka dni przedtem widział on we śnie tuż przy drodze drzewo wspaniałe i ogromne. Podeszedł doń i podziwiał bujność jego, gdy nagle zaczął sam rósć prędko, sięgnął niebawem wierzchołka i, chwyciwszy, przygiął ku ziemi. Patrzcież!

To samo sprawił na jawie, kiedy Namiestnik Chrystusa, papież Inocenty, będący najwyższym i najwspanialszym drzewem świata, ugiął się łaskawie prośbie jego i woli.

Błogosławiony mąż pożegnał papieża i, odszedłszy, jął za poradą jego błagać Boga, a Bóg przemówił doń znowu przez ducha i obrazy w te słowa:

— Żyła ongiś pośród pustyni kobieta biedna i piękna bardzo. Pewien król, oczarowany jej pięknnością, zapragnął ją pojąć w małżeństwo, by spłodzić piękne potomstwo. Pobrali się i mieli dużo synów, gdy zaś dorośli, powiedziała im matka: — Nie wstyďte się, synowie moi, jesteście bowiem potomkami króla; idźcież tedy doń, a otrzymacie wszystko, czego wam nie dostaje! — Stanęli przed królem, a on, widząc, jak są piękni i podobni do siebie, spytał: — Czyimiż jesteście synami? — Odpowiedzieli, że matką ich jest biedna kobieta, żyjąca w pustyni. Ucałował ich król z radością i rzekł: — Zaprawdę, jesteście syny moje, ja zaś, który żywię tylu obcych u stołu mojego, tem ohoćniej ugoszczę prawowite dzieci moje! — Rozkazał potem, by wszyscy synowie, których miał z ową biedną kobietą, utrzymywani byli na dworze.

Modląc się żarliwie, zrozumiał Franciszek, że kobietą ową jest on sam.

Skończywszy modły, stanął ponownie przed papieżem i opowiedział to, co mu Bóg ukazał, dodając:

— O, miessere, jam to jest owa biedna kobieta, którą Bóg uczynił piękną i poślubił, chcąc mieć z nią prawowite dzieci. Król przyrzekł mi hodować wszystkie dzieci, przeze mnie spłodzone, bo, skoro żywi obcych, chętniej to jeszcze uczyni synom swoim. Bóg, który daje grzesznikom dobra doczesne, chcąc przez miłość wielką żywić wszystkie dzieci swoje, tem bardziej nie odepchnie wyznawców św. Ewangelji i da im to, czego pragną, w większej jeszcze mierze!

Słowa te wzruszyły głęboko dostojnego papieża, a to tem więcej, że przed przybyciem Franciszka ujrzał we śnie kościół św. Jana Laterańskiego, zagrożony zniszczeniem i ruiną; podpie-rał go własnymi plecami mnich mały i pogardzany przez wszystkich. Jako człowiek mądry i prze-zorny zadał sobie po przebudzeniu pytanie, co-by obraz ten mógł oznaczać.

W kilka dni później przyszedł Franciszek, pro-sząc o zatwierdzenie reguły, napisanej w wyrazach prostych, zaczerpniętych z samejże św. Ewangelji. Na widok zapалу, z jakim imał się służby bożej, wspomniał papież widzenie senne i pomyślał w duchu:

— Zaprawdę, człowiek ten to zakonnik prawdziwy i święty, który powstrzyma upadek Kościoła bożego.

Ucałował go tedy, zatwierdził regułę i nadał zakonnikom przywilej głoszenia pokuty, pod warunkiem, że każdy z kaznodziejów uzyska osobno jego zezwolenie. Wszystko uzyskało aprobatę konsystorza, a Franciszek podziękował na klęczkach Bogu, przyrzekł kornie i szczerze posłuszeństwo Ojcu Świętemu. Inni bracia przyrzekli w obliczu Papieża posłuszeństwo Franciszkowi.

Otrzymawszy błogosławieństwo głowy Kościoła, przyjęli wszyscy tonzurę, bowiem chcieli być mni-chami.

VI.

POWRÓT Z RZYMU.



adował się wielce Franciszek wraz z braćmi łaskami, jakie na nich zlał obficie ojciec duchowny, i złożyli hołd Najwyższemu, który podnosi prostaczków i ochrania cierpiących. Poszli wszyscy do katedry św. Piotra, skoń-

czywszy zaś modły, wyruszyli z Rzymu, kierując się na Spoleto.

Idąc, rozmawiali o łaskowości wikariusza Chrystusowego, pana i ojca wszystkich ludów chrześcijańskich. Rozważali, jakby najlepiej i najszczerzej spełniać jego rozkazy, nieugięcie trwać przy regule, iść ku Bogu świętością i pobożnością coraz to większą, a także, czego się jąć, by przykładem życia pobudzać do cnoty i służyć sprawie zbawienia bliźnich.

Nowi uczniowie Chrystusa rozstrząsali te ważne sprawy, tworząc niejako szkołę pokory, a tymczasem mijały godziny i słońce wzbijało się na niebo. Wyczerpani podróżą, nękani głodem, zaszedli na koniec w miejsce pustynne, oddalone od siedzib ludzkich. I oto nagle przybiegł ku nim za sprawą bożą człowiek jakiś, niosąc bochenek chleba. Dał im ten chleb, a potem znikł z przed oczu. Nie znając go, dziwowali się temu wielce i w sercach swoich postanowili ufać tembardziej miłosierdziu bożemu. Pożywienie to dodało im sił i niebawem dotarli do pięknej osady pod miastem Orte. Zabawili tu przez dni piętnaście, wysyłając raz po raz jednego z braci do miasta po rzeczy konieczne dla życia. Wysłańcy przynosili skromną jałmużnę, uzebraną po domach, którą spożywano wspólnie, radując się i składając dzięki Bogu. Jeśli im cośkolwiek zostało, chowali to na później w prastarych grobowcach, mieszczących szkielety zmarłych. Była to pustynia bezludna, a nie wielu znało drogę do niej.

Bracia radzi byli, że nie mają tutaj niczego, co by mogło podniecać ich próżność lub żądze cielesne. Tutaj to dopiero weszli w stosunki ścisłe ze świętem Ubóstwem. Umocnieni na duchu owym brakiem wszystkiego, co światowe, postanowili czynić, jak tu, wszędzie, gdzie zajdą. Wolni wszelakich trosk ziemskich, rozkoszując się jeno słody-

czami nieba, zabezpieczeni od pokus, wzruszeń i utrapień, uradzili, że nigdy unikać nie będą pieśszczt owego szlachetnego Ubóstwa.

Atoli, powodowani obawą, by urok tej pustelni nie nadwyreżył mocy ich ducha, a stały pobyt w tak pożądanem miejscu nie wzbudził w nich myśli własności, opuścili pustynię i, wiedzeni przez Franciszka, zeszli wraz z nim w dolinę Spoleta. Po drodze nie przestawali rozstrząsać pytań, co im czynić nakazuje sprawiedliwość: żali mają żyć w odcięciu od świata jako pustelnicy, czy też wmieścić się pomiędzy ludzi. Jak zawsze, nie ufał Franciszek własnemu rozumowi, ale zapytał Boga i, skończywszy żarliwą modlitwę, powiedział, że nie wolno żyć dla siebie. Za przykładem tego, który poniósł śmierć za wszystkich, będąc posłańcem Boga, winni są ratować dusze, które szatan chwytą po świecie całym.

Mężny żołnierz Chrystusa jał tedy wędrować od miasta do miasta i od zamku do zamku, głosząc, iż nastało królestwo boże, a nie używał słów wiedzy ludzkiej, jeno w prostych wyrazach, ożywionych potęgą ducha, głosił pokój, wzywał do pokuty i przyrzekał odpuszczenie grzechów. Wewszystkiem, co dotyczyło wiary, działał, jak przystało apostołowi, nie ustępując na włos, nie używając pochlebstw ni uwodzicielskich sztuczek. Obcą mu była po-

blażliwość dla błędu, nie tolerował obyczaju grzesznego, ale piętnował je rozpalonem żelazem i karciał popędliwie.

Z własnego doświadczenia nabrał przekonania, które teraz wpajał innym, budząc wiarę w prawdę i to z taką potęgą, że nawet dostojni i słynni uczeni podziwiali jego płomienne słowa, uczuwając w sercach zbawienny niepokój. Zbiegali się mężczyźni, kobiety, kapłani i zakonnicy, żądni słów sługi bożego. Uznawano go powszechnie za męża innej epoki. Gromadzili się wkoło niego ludzie wszelakiego wieku i obu płci, zdumieni cudami, jakie Bóg na nowo czynił przezeń w świecie. Zaprawdę, w czasach onych skutkiem obecności świętego lub samego jeno rozgłosu jego imienia zjaśniała światłość jakowaś nowa, zesłana z nieba, rozpraszając ciemń, która tak gęstą oponą przykrywała świat ówczesny, że nikt już nie wiedział, dokąd mu iść należy.

Jaśniał tedy Franciszek, niby gwiazda pośród chmur nocy, jak płomień, łyskający w omroce. Niedługo cała prowincja przybrała inną zgoła postać, dawna radość i pogoda wróciły, a przepadły kalamające ją dotąd sprawy nieczyste. Jałowinę niedawną zastąpiła bujność, opuszczone winnice puściły nowe pędy, zakwitło wszystko, rojąc plon obfity dostojństwa i uczciwości.

Mnożyły się znaki łaski i rozbrzmiewały hymny pochwalne, ludzie wyrzekali się wiekowych przesądów i poznawali samych siebie, pod wrażeniem przykładu świętobliwego żywota i nauki błogosławionego ojca Franciszka. Lud prosty, szlachta i biedacy, kapłani i świeccy spieszyli doń, pragnąc bojować pod jego znakiem. A mąż boży, podobny wezbranemu strumieniowi łask, zraszał dżdżem miłosierdzia ich dusze, wywodząc z nich wonne kwiaty cnót. Był on doskonałym artystą, który pracą płci obojga odnawiał Kościół Chrystusowy i miał w przyszłości zwyciężyć przy pomocy trojakiej armji wybrańców swoich. Każdemu dawał wskazówki życia i wskazywał prawą ścieżkę zbawienia.

W tym czasie obozował jeszcze z braćmi na stokach Rivo Torto, dając przykład cnót, przepisanych regułą, a więc pokorą, miłosierdziem, posłuszeństwem, ubóstwem, wiarą, czynnem życiem, cierpliwością, medytacją, umartwieniem ciała, zaparciem się siebie, pokojem i zgodliwością.

Przez cały dzień pracowali bracia z wieśniakami w polu, lub pomagając rzemieślnikom. Franciszek chciał, by każdy dokonywał pracy rąk swoich, mówiąc, że ospali, nie mający się żarliwie jakiegoś zadania, zostaną wyrzuceni w nicość z ust Pańskich. Karciał surowo leniwych, a sam pracował, dla przykładu pokazując, że nie należy marnotra-

wić czasu, który jest darem nad wyraz cennym. Mówił zawsze:

— Chcę, by bracia moi pracowali w pokorze nad dziełami dobremi, nie ciężąc przez to tak bardzo bliźnim i nie narażając serca i języka swego na zanik w próżniactwie. Każdy winien obrać zawód jakiś, a zapłata za pracę ma być dawana nie robotnikowi, ale temu, kto stoi na czele zgromadzenia i ma o wszystkich staranie.

Był pośród zakonników brat jeden, który się modlił niedługo, nie pracował wcale, wzbraniał się żebrać, natomiast lubił jadać do syta. Widząc to, zrozumiał Franciszek, że brat ów jest człowiekiem ciała, nie ducha, rzekł mu tedy:

— Idź precz! Krocz drogą własną, bracie mucho, który spożywasz owoce pracy innych, będąc leniwym w dziele bożem, jako truteń jałowy, zjadający chleb pszczół pracowitych.

Zdarzyło się pewnej nocy, około dwunastej, że jeden z braci zakrzyknął:

— Umieram! Umieram!

Zbudzili się wszyscy, zdumieni wielce, a Franciszek wstał i rzekł:

— Wstańcie, bracia, i rozniećcie światło!

Gdy zaświecono, spytał:

— Któryż to z was wołał, że umiera?

A jeden odparł:

— To ja!

— Cóż ci to, bracie? — spytał Franciszek — Czemuż umierasz?

— Umieram z głodu! — rzekł brat.

Franciszek kazał dać mu jeść, jako człowiek miłosierny zasiadł z nim razem, by nie miał wstydu, iż je sam, i zaprosił innych braci, by także jedli. Brat ów, łącznie z kilku innymi świeżo nawrócony, zbytnio umiartwiał ciało swoje. Gdy skończyli, rzekł im Franciszek:

— Bracia moi! Zaprawdę, powiadam wam, że każdy winien mieć wzgląd na naturę swoją. Niektórym z pośród nas trzeba jadła niewiele, ale słabsi nie muszą naśladować tamtych. Każdy wedle natury swojej winien dać ciału tyle, by mogło służyć duchowi. Podobnie, jak unikamy nadmiaru, szkodliwego dla ciała i duszy, winniśmy miarkować wstrzemięźliwość, albowiem Pan żąda miłosierdzia, nie zaś poświęcenia.

Pierwsi bracia i ich bezpośredni następcy przesadnie, zaprawdę, udęczeni ciałem swoje głodem, pragnieniem, czuwaniem, szorstką odzieżą i ciężką pracą. Nosili też na gołym ciele pasy żelazne, twarde pancerze i chropowate włosiennice. Widząc, że ich to dręczy wielce, a nawet, że niektórzy odnoszą rany, rozkazał, by odtąd na ciele mieli jeno

tunikę, narzędzia zaś tortury polecił odrzucić precz.

Innym razem, znajdując się blisko tej samej miejscowości, napotkał błogosławiony Franciszek zakonnika chorego i osłabłego wielce. Weszło już teraz w zwyczaj, że zdrowi czy chorzy bracia uważali ubóstwo swoje za bogactwo i nie tylko odmawiali sobie lekarstw, ale, przeciwnie, jedli i pili to, co im mogło szkodzić. Na widok chorego starca pomyślał Franciszek, że dobrzeby mu zrobiło, gdyby zjadł wczesnym rankiem trochę winogron. Uczynił tak. Wstawszy o świcie, wezwał po cichu onego brata i zaprowadził go do pobliskiej winnicy. Wyszukał krzak rodzajny i jął jeść razem z chorym, by nie czuł wstydu, że je sam. Po zjedzeniu tych winogron, ozdrowiał chory, a wszyscy oddali hołd Bogu.

Podczas ich pobytu w Rivo Torto wieśniak pewien, wiodący osła, podszedł do szopy, gdzie przebywał sługa boży wraz z uczniami, i jął krzyczeć do osła:

— Wejdźże! Wejdź! Przyniesiemy szczęście miejscu temu.

Dotknęło to wielce Franciszka, gdyż odgadł myśl wieśniaka. Był pewny, że bracia chcą się tu osiedlić na stałe, rozbudować szopę i dodać nowe pomieszczenia.

Wyszedł tedy niezwłocznie wraz z braćmi i, opuściwszy to miejsce z powodu słów prostaka, powiodł uczniów niedaleko do wioski Porejunkuli, gdzie, jak wiemy, ongiś naprawiał walącą się kaplicę N. P. Marji. Nie chciał posiadać niczego, by tem pewniej posiadać wszystko w Bogu.

VII.

INSTALACJA W PORCJUNKULI.



idząc, iż Pan rozmnaża
braci jego, rzekł im
Franciszek:

— Drodzy bracia
i synowie moi! Oto
Wszechmocny roz-
mnaża rodzinę naszą.
Sądzę tedy, że win-
niśmy dla celów po-
bożności prosić bi-
skupa, kanoników św. Rufina, albo przełożonego
opactwa św. Benedykta, by nam dano jakiś
kościół, gdzieby bracia mogli odprawiać modły,
przy nim zaś musimy zbudować domek z gałęzi
i bierwion drzewa. Potrzeba nam go do pracy
i spoczynku, to zaś miejsce, gdzie dotąd żyliśmy,
nie jest już dla nas odpowiednie. Gdyby któryś
z nas zmarł, nie wypadłoby go grześć tutaj,
w polu, ani też pod kościołem, jak człowieka
świeckiego.

Spodobało się to wielce braciom, a Franciszek poszedł do biskupa asyżskiego i powtórzył to samo.

Atoli biskup odrzekł:

— Nie mam, bracie, wolnego kościoła!

Tosamo powiedzieli kanonicy.

Franciszek poszedł tedy do opactwa benedyktyńskiego, pod Monte Subacio, i zaniósł prośbę o kościół. Zdjęty politowaniem, naradził się opat z zakonnikami, potem zaś, natchniony duchem bożym, oddał błogosławionemu i braci jego kościółek N. P. Marji w Porcunkuli, najmniejszy i najuboższy, jaki posiadał konwent.

— Spełniłszy oto, bracie, prośbę twoją, — rzekł przeor Franciszkowi — chcemy atoli, by kościół ten został na wieki kościołem macierzystym kongregacji, jeśli Bóg raczy rozmnożyć wasz zakon.

Uradowały słowa te błogosławionego i braci i chętnie wzięli w posiadanie kościółek tak ubogi i mały, że cała miejscowość wzięła odeń miano Porcunkuli, t.j. „Odrobinki“. Franciszek zaś dodał:

— Taka była wola boża, by właśnie ten kościółek dostał się Braciom Mniejszym, iżby nie mieli troski z budową nowego.

Chociaż biedny i napół rozwalony, kościółek ten czczony był wielce przez Asyżan i ludność okoliczną. Gdy tu jeno osiedli bracia, jął ich Pan rozmnażać z dniem każdym, a sława ich pobożności

ogarnęła wkrótce całą dolinę Spoleta i rozeszła się nawet po różnych krajach świata. W czasach dawnych zwano Porcunkulę także kościołem M.B. Anielskiej, ponieważ rozbrzmiewały tam, jak mówiono, śpiewy aniołów.

Mimo, że przeor i mnisi oddali budynek bez żadnych zastrzeżeń, postanowił Franciszek, jako mąż mądry i przezorny, zbudować Dom swój, czyli Religję na trwałym fundamencie ubóstwa zupełnego. Dlatego rok rocznie posyłał Benedyktynom na znak pokory i ubóstwa misę ryb, zwanych płotkami. Chciał, by bracia nie posiadali żadnej nieruchomości, ni ziemi, nie mieszkali stale w kraju, podległym któremuś z książąt, i by nie mieli prawa sprzedawania niczego. Zanosząc te rybki co roku do opactwa, dodawali od siebie drugą misę oliwy. Zareczał Franciszek częstokroć braciom, że Bóg mu objawił, iż Matka Boża najgoręcej z pośród wszystkich kocha ten właśnie kościółek. Z tego też powodu od tej pory jął czcić żarliwie Marję Pannę, a spisując przed śmiercią testament, zalecił braciom czynić to samo.

Prosil go teraz bracia, by ich nauczył modlić się, albowiem w prostocie swej nie znali modłów kościelnych, on im zaś powiedział:

— Odmawiajcie jeno Ojcie Nasze i Adorację taką: Wielbimy cię, Chryste, we wszystkich kościo-

lach świata i hołd składamy tobie, iżesz przez krzyż i mękę swoją świat odkupić raczył!

Spełniali wiernie i nabożnie bracia wszelkie polecenia Franciszka, a ponadto starali się odgadnąć to, czego nie powiedział, mając jeno objawienia od Boga. Czynili tak, chcąc się zastosować do wyrzeczonych przezeń słów, że prawdziwe posłuszeństwo winno być nie tylko spełnianiem nakazów, ale owocem pożądań. Jeśli brat zrozumiał wolę przełożonego, zanim głos jego usłyszał, winien poddać się jej i przyuczyć rozpoznawania wedle najdrobniejszego znaku.

Toteż gdziekolwiek ujrzeni kościół, choćby zdala, pochylali się przed nim i padali na ziemię, powtarzając: — Wielbimy cię, Chryste, we wszystkich kościołach świata i hołd składamy tobie, iżesz przez krzyż i mękę swoją świat odkupić raczył! — To samo czynili, zoczywszy krzyż lub kształt krzyża na ziemi, na murze, wśród drzew lub przy drodze.

W onym czasie, jako niezbyt liczni jeszcze, chodzili wszyscy wraz z Franciszkiem po kościołach miast i wsi całej okolicy Asyżu, nakłaniając do pokuty. Nosili ze sobą miotłę, zamiatając świątynie zaniedbane, bo smuciło ich, gdy je zastawali brudne. Po kazaniu zbierali w ustronnem miejscu księży, tak, by parafjanie nie słyszeli, i zaklinali na zbawienie duszy, by dbali o kościoły, ołtarze

i wszystko, co służy do odprawiania świętych obrzędów.

Pewnego dnia wszedł błogosławiony Franciszek do takiego kościoła i jał pokornie zamiatać go i oczyszczać z kurzu. Ale wieść o jego przybyciu gruchnęła po wsi, wieśniacy bowiem garnęli się doń, chętnie słuchając słów jego. Jeden z rolników, imieniem Jan, orał właśnie. Gdy mu powiedziano, że przybył mąż boży, porzucił pług, przybiegł do kościoła, a widząc, że zamiata kornie podłogę, zawołał:

— Bracie! Dajno miotłę, pomogę ci!

Potem usiedli obok siebie, a Jan rzekł te słowa:

— Oddawna już, bracie, chciałem służyć Bogu, zwłaszcza posłyszawszy o tobie i zakonie twoim, nie wiedziałem tylko, jak cię odnaleźć. Ponieważ Bóg nas dziś sprowadził razem, uczynię wszystko, co każesz.

Uradował się wielce w Bogu Franciszek i powiedział mu:

— Jeśli chcesz, o bracie, wstąpić do naszego zgromadzenia, musisz wyzbyć się po cichu z wszystkiego, co posiadasz i rozdać to pomiędzy ubogich, jak powiada święta Ewangelja. Uczynili to wszyscy bracia, którzy coś posiadali.

Posłyszawszy to, wstał Jan, wrócił na pole, gdzie zostawił woły, odprzągnął je i, przywiódłszy jednego Franciszkowi, powiedział:

— Bracie! Od długich już lat służę ojcu memu i całej rodzinie. Oto moja część dziedzictwa, a chociaż jest mała, przyjm tego wołu i daj biednym, jak uznasz za stosowne.

Rodzice i krewni Jana byli bardzo biedni, usłyszawszy przeto, że Jan chce ich opuścić, jeśli narzekać, lamentować i wydawali takie okrzyki bólu, że wzruszyli serce Franciszka. Była to rodzina liczna i zdawna tu osiadła. Rzekł im tedy mąż boży:

— Przyrządźcie posiłek, tak, byśmy jedli wszyscy i nie martwcie się, albowiem przywróce wam radość!

Niebawem zastawiono potrawy, a wszyscy nasycili się i byli weseli.

Po jedzeniu rzekł im Franciszek:

— Syn wasz chce służyć Bogu, a winno was to cieszyć, nie zaś osmucać, gdyż nie tylko w obliczu Boga, ale także i świata jest to wielki zaszczyt i korzyść dla dusz waszych. Bóg uczczony zostanie w potomku waszym i krewnym. Ponieważ Jan jest stworzeniem boskiem (a służyć Bogu znaczy tyle, co być królem), nie mogę ani nie wolno mi od-

dawać go wam, ale chcę was pocieszyć i wołu tego daję wam, jako biednym.

Słyszając te słowa, nabrali otuchy i uradowali się wielce odzyskaniem wołu.

Tę świętą, czystą prostotę cenili wielce Franciszek w ludziach i w samym sobie. Dał tedy niezwłocznie wieśniakowi szatę zakonną i zabrał go z sobą. Jan był tak naiwny, że uważał za swój obowiązek naśladować we wszystkim mistrza swego. Widząc, jak się modli w kościele, czy gdzie indziej, śledził każdy ruch i gest jego i czynił to samo. Gdy Franciszek przyklękał, podnosił ręce do nieba, prosił i wzdychał, Jan naśladował wszystko wiernie. Spostrzegłszy to, zburczał go mąż boży za taką naiwność, ale wieśniak odrzekł:

— Bracie, przyrzekłem czynić wszystko, co ty czynisz, przeto pozwól mi naśladować ciebie.

Dziwował się tedy Franciszek tej niewinności i prostocie, a w sercu czuł radość wielką.

Franciszek, sługa boży, rzekł pewnego razu:

— Religja i życie Braci Mniejszych winna odzwierciedlać tę pokorną trzódkę, o którą Syn Boży prosił Ojca niebieskiego w ostatniej godzinie życia, mówiąc: — Ojcze! Daj mi w tej oto ostatniej godzinie trzódkę nową, pokorną wielce i odmienną zgola od poprzednich, którejby starczyło, że mnie

samego posiada! — A na to odrzekł Ojciec: — Synu stało się, czego chciałeś.

Franciszek powtarzał też często, że bracia zwa się Mniejszymi z woli bożej, jako ten ludek pokorny i biedny, o jaki prosił Zbawiciel na krzyżu, a o jakim mówi w Ewangelji:

— Nie bój się, trzódko moja, bowiem spodobalo się Ojcu dać wam królestwo Swoje! — A na innym miejscu znów: — Co uczyniliście jednemu z tych braci mniejszych, mnieście uczynili!

Gdy Franciszek otrzymał objawienie, że religijność jego ma się zwać Zakonem Braci Mniejszych, napisał to na czele pierwszej reguły swojej i zaniósł ją papieżowi Inocentemu III. Tosamo uczynił z objawionem sobie pozdrowieniem i wpisał do swego testamentu:

— Bóg mi objawił, iż mam pozdrawiać słowami:

— Pokój wam!

W początkach zakonu, kiedy szedł z jednym z dwunastu pierwszych braci, tenże pozdrawiał w ten sposób ludzi, pracujących w polu. Nie słyszeli oni dotąd takiego pozdrowienia zakonnika, przeto dziwili się, a niektórzy mówili z oburzeniem:

— Cóż to za pozdrowienie?

Zawstydził się brat i rzekł Franciszkowi:

— Pozwól, że ich pozdrowię inaczej.

Ale Franciszek odrzekł:

— Przebacz im te słowa, gdyż nie wiedzą, iż pozdrowienie nasze od Boga pochodzi. Ale nie wstydz się, dostojnicy bowiem i książęta tego świata cześć oddadzą tobie i braciom twoim dla tego właśnie pozdrowienia. Czyż dziwne, że Bóg chciał mieć nową, skromną trzódkę, odmienną od poprzednich czynami i słowami, której starczy, że posiada jeno jego samego, za całą siłę i słodycz, a która szuka swej chwały w pogardzie ze strony ludzi tego wieku?

VIII.

NAWRÓCENIE ŚW. KLARY I APOSTOLAT
W ITALJI.



święta Klara, owa przedziwna kobieta, jasna z imienia i cnót, urodzona w Asyżu, rodaczka św. Franciszka na ziemi i połączona z nim potem w niebie, pochodziła z wybitnej rodziny. Ojciec jej był rycerzem, a po mieczu

i kądzieli wszyscy członkowie służyli w armji. Dom był dostatni, bogaty nawet, jak na owe czasy i miejscowość, matka jej zaś Ortolana (ogrodniczka), która wyhodowała tę rodzajną latorośl w ogrodzie Kościoła, sama była również płodną w doskonałe owoce. Ale dość o tem. Poznać drzewo po owocu, a zaleca się ono owocem swoim. Od najwcześniejszej młodości jaśniała mała Klara cnotliwością pośród ciemni epoki swojej. Od kiedy poczuła żar miłości świętej, wzgardziła uludą kwiatów do-

czesnych. Pod drogocenną, lekką szatą nosiła tajemnie włosienicę, a dając światu pozory jeno, zachowała samą treść serca dla Chrystusa.

Rodzice chcieli ją wydać świetnie za mąż, ona jednak unikała tego, odraczając sprytnie zaręczyny ziemskie i oddając w opiekę Bogu dziewictwo swoje.

Posłyszawszy o Franciszku, człowieku nowym, który oświecał enotami zapomnianą już teraz ścieżkę zbawienia, zapagnęła go poznać i posłuchać słów jego. On także dowiedział się o pięknej panience i postanowił wyrwać ten szlachetny łup ze szponów przewrotnego świata. Kilka razy odwiedzili się wzajem, skracając jednak bardzo nabożne rozmowy, by ich nie posłyszano i by nie wydano ich na języki oszczerców. Dziewczyna wychodziła z rodzicielskiego domu w towarzystwie przyjaciółki i powiernicy, wsłuchując się w słowa sługi bożego, który przemawiał językiem płomienym i nadludzkim, jakgdyby nakłaniał ją usilnie, by wzgardziła światem, dowodząc, jak płonne są ziemskie nadzieje i puste wysiłki ludzi. Podszeptował jej czarowne myśli o słodczy małżeńskich godów z Chrystusem, zachęcając, by zachowała dziewictwo dla tego boskiego oblubieńca, który przez miłość stał się człowiekiem.

Nadchodziła niedziela Palmowa. Kilka dni przedtem udała się Klara do sługi bożego, pytając

go, w jaki sposób ma przeprowadzić swe zerwanie ze światem. Franciszek poradził jej, by się w dniu uroczystym przybrała w piękne szaty i wraz z tłumem poszła po palmy do kościoła, potem zaś nocą wyszła z pałacu rodziców, wzięwszy żałobę ku czci Ukrzyżowanego. W niedzielę zjawiła się promieniejąca radością Klara w przepysznych szatach i weszła do kościoła wraz z innymi damami wysokiego rodu. I oto uczynił Bóg znak widomy! Klara stała bez ruchu na miejscu swoim, a biskup zstąpił ze stopni ołtarza i, idąc aż ku niej, wręczył jej palmę. Pełniąc radę świętego męża, wymknęła się z domu w towarzystwie odpowiedniem. Nie chcąc wychodzić bramą główną, musiała wyważyć własnoręcznie furtkę zamurowaną, zawaloną ciężkimi głazami, czego dokonała z energją i siłą wprost cudowną. Opuszczając tak dom, miasto i rodzinę, pospieszyła do Porcjunkuli, gdzie ją czuwający bracia przyjęli z pochodniami w rękach. Zrzuciwszy z siebie całe zepsucie Babilonu, oświadczyła, że zrywa ze światem. Obcięto jej włosy, potem zaś otrzymała oznaki pokuty przed ołtarzem, rzecz można: u samego łoża N. P. Marji, i odprawiła zaślubiny swe z Chrystusem. Franciszek odprowadził ją do kościoła św. Pawła, gdzie zamieszkała aż do chwili wyszukania innego przytułku.

Wieść dotarła do rodziców, którzy, bolejąc strasznie, potępili czyn dziewicy. Zbiegli się licznie krewni do kościoła w zamiarze zabrania jej do domu. Obsypano ją ostremi wyrzutami, zaczęto dawać chytre rady, pieszczono ją, grozono jej w najrozmaitszy sposób, usiłowano skłonić ją do zaniechania planu, przynoszącego hańbę rodzinie i bezprzykładnego dotąd w całej okolicy. Wszystko było jednak daremne. Trzymając się ołtarza, ukazała ogoloną głowę i oświadczyła, że nie jej od służby bożej oderwać nie zdoła. Męstwo jej wzrastało w miarę wściekłości krewnych, a miłość podwajała jej siły. Mimo, że ją napastowano, przez dni kilka stawiała wszystkiemu czoło, nieugięta w wierze. Odeszli wreszcie zasmuceni krewniacy, zostawiając ją w spokoju. W krótki czas potem przeprowadzono ją do kościoła św. Michała Pawijskiego, a stamtąd do św. Damjana, gdzie się zamknęła na całe życie.

Plonąc miłością bożą, usiłował Franciszek zawsze dokonywać rzeczy wielkich i, krocząc z zapalem serca drogą, otwartą mu przez Boga, dążył do najwyższej doskonałości. Szóstego roku po nawróceniu swoim umyślił zdobyć palmę męczeńską i, przebywszy morze, głosić słowo boże Saracenom oraz innym niewiernym Syrii. Wsiadł na okręt, płynący w tym kierunku, ale wskutek przeciwnych

wiatrów został wraz z innymi podróżnymi wyrzucony na wybrzeża Sławonji. Widząc, że nadzieje jego spełzły na niczem, prosił marynarzy, wracających do Ankony, by go zabrali, bowiem do końca roku żaden okręt nie jechał w kierunku Syrii. Marynarze odmówili, gdyż nie miał pieniędzy na zapłatę, on jednak, ufając dobroci bożej, wsiadł pokryjomu wraz z jednym towarzyszem.

Zaledwo się ukrył, przybył za sprawą Opatrzności jakiś człowiek. Przyniósł znaczną ilość żywności i, przywoławszy jednego z bogobojnych marynarzy, polecił, by wiernie i sumiennie karmił dwu biedaków, ukrytych na okręcie. Tak się stało. Odpłynęli, ale w drodze zaskoczyły ich burze. Marynarze wyczerpali wszystkie zapasy, tak że została jeno żywność Franciszka. Za łaską bożą rozmnażała się ona cudownie i starczyło jej dla wszystkich obficie aż do wylądowania. Widząc, że ocaleli jeno za sprawą męża bożego, złożyli dzięki Wszechmocnemu, nigdy nie wypuszczającemu z opieki tych, którzy mu służą.

Opuściwszy okręt, wędrował Franciszek po ziemi, uprawiając ją pługiem słowa swego i siejąc ziarno życia. Praca ta wydała plon obfity, gdyż dobrzy i rozsądni ludzie świeccy i kapłani, wyrывая się ze szponów djabelskich, naśladowali go w czynach i myślach swoich.

Nie wygasło w nim jednak pożądanie męczeństwa. Niedługo potem wyruszył do Maroka, by głosić słowo boże. Tak wielką pałał chęcią dotarcia do celu, że nieraz, jak pijany zapalem, zapominał o towarzyszu swym. Gdy był już w Hiszpanji, objawił mu się Chrystus i dotknął go chorobą, by nie dążył dalej. Musiał tedy zawrócić.

Wkrótce po powrocie do Porejunki przybyło do niego kilku uczonych i panów wysokiego rodu, chcących się doń przyłączyć. Mając duszę szlachetną i pełną wiary, przyjął ich z szacunkiem i godnością, oddając, co należało każdemu. Trzeba wiedzieć, że posiadał wrodzony takt i zachowywał roztropnie formy obejścia.

Nauczył braci, by żyli z wszystkimi w zgodzie i byli skromni, ale polecał im szczególniej jeszcze szanować kapłanów. Powtarzał często:

— Jesteśmy posłani na pomoc kapłanom, ratującym dusze. Winniśmy uzupełniać to, czego im brak. Każdy otrzyma nagrodę nie według stanowiska i władzy, ale wedle zasług swych i czynów. Wiedźcież, o bracia, że obfity plon dusz najbardziej podoba się Bogu i że więcej zyskuje się zgodą, niż sporami. Gdyby nawet niektórzy kapłani stali na przeszkodzie zbawienia ludu, zostawcie zemstę Bogu, który im da zapłatę o właściwej porze. Podlegli bądźcie pralatom, by snądz przez was nie po-

wstał zatarg jakowys. Bądźcie dziećmi pokoju, a pozyskacie jednocześnie lud i kler, co miłsze będzie Bogu, niż gdybyście pozyskali lud z poniżeniem duchowieństwa. Oslaniajcie tedy słabostki kapłanów, nagradzajcie ich różne błędy, a czyniąc tak, będziecie skromniejsi jeszcze.

Pewnego razu przybył Franciszek do Imali, miasta Romanji, i, stanawszy przed miejscowym biskupem, poprosił, by mu zezwolił głosić słowo boże.

— Bracie, — odrzekł biskup — ja głoszę ludowi memu słowo boże i dość mu tego!

Skłoniwszy pokornie głowę, odszedł Franciszek, ale wrócił w niespełna godzinę.

— Czegoż chcesz, bracie? — spytał biskup.

— Gdy ojciec wygnał syna jednemi drzwiami, — odparł sługa boży — syn ten wrócić powinien drugimi.

Wzruszony tą pokorą, uściskał go biskup i rzekł z wielką radością:

— Głosze, bracie, i niech głoszą towarzysze twoi słowo boże w całej djecezji mojej! Daję pozwolenie, bo pokora wasza zasługuje na to.

W czasie, kiedy Hugo, biskup Ostji, pełnił, jak to bywało często, funkcje legata papieskiego w Toskanie, znalazł się Franciszek we Florencji, gdzie właśnie biskup przebywał. Sługa boży nie miał

jeszcze wielu uczniów we Francji i szedł tam właśnie. Nie łączyła ich jeszcze przyjaźń zażyła, ale czuli wzajemny pociąg, jako że wiedli obaj żywot świętobliwy. Franciszek składał zawsze wizyty prałatom i kapłanom miejscowości, do których przybywał. Dowiedziawszy się tedy, że zastał wielkiego dostojnika, stanął przed nim pokornie. Biskup przyjął go z tą pełną prostoty dobrocią, jaką okazywał zawsze sługom Kościoła, ponieważ zaś wspierał wydatnie biedaków, spytał o powód przybycia. Dowiedziawszy się, pochwalił zamiary Franciszka. Poznał niebawem, jak gardzi sprawami tej ziemi i pała miłością, którą Chrystus rozlał po świecie, to też uczuł mu się bliskim duchowo, zezwolił na wygłaszanie kazań i przyrzekł pomoc i opiekę we wszystkim. Nakłaniał go jednak, by nie szedł dalej, ale by się poświęcił pieczy nad tem, co mu już Bóg powierzył. Franciszek wyraził chęć apostołowania po Francji, ale biskup zabronił mu tego, mówiąc:

— Bracie, nie chcę, byś szedł poza góry. Jest tam mnóstwo prałatów, którzy wystąpią przeciw tobie i braciom twoim, a w kraju tym zbraknie wam poparcia kurji rzymskiej. Ja natomiast i inni kardynałowie kochamy wasz zakon i będziemy go wspierali, o ile pozostanie w granicach prowincji naszych.

Na to odrzekł mąż błogosławiony:

— O panie! Jest to wielki wstyd dla mnie, że wysyłam tylu braci w odległe kraje, a sam mam zostać tutaj, nie biorąc udziału w prześladowaniach, które cierpią dla miłości Chrystusa!

Z pewnym jakby wyrzutem ozwał się biskup:

— Pocóż wysyłasz tedy braci daleko, by marli głodem i znosili inne jeszcze gorsze utrapienia?

— Panie! — zawołał z wielkim, proroczym zapalem: — Czyż Bóg powołał Braci Mniejszych dla tego jeno wyłącznie kraju? Zaprawdę, powiadam, powołał ich ku zbawieniu wszystkich dusz całego świata! Nietylko w krajach chrześcijańskich, ale wśród pogan przyjęci zostaną i zdobędą dużo dusz!

Zdumiały biskupa Ostji te natchnione, a tchnące prawdą słowa. Mimoto nie pozwolił iść Franciszkowi do Francji. Sługa boży wysłał tam brata Pacyfika i znaczną ilość braci, sam zaś wrócił do doliny Spoleta.

IX.

WIZERUNEK FIZYCZNY I MORALNY
ŚW. FRANCISZKA.



akże nam się wyda-
wał pięknym, — po-
wiada Tomasz de Ce-
lano — jak wspania-
łym, pełnym chwały,
w niewinności żywota,
prostocie słów, czy-
stości serca, miłości ku
Bogu, miłosierdziu dla
wszystkich istot ży-

wych, w zapale posłuszeństwa i pokoju oraz
anielskiej postaci swojej! W obejściu łagodny,
spokojny, uprzejmy w mowie, chętny do rady,
wierny w obietnicach, przeznany w myślach,
zdecydowany w czynie, a zawsze i wszędzie
pełen uroku.

Poważny w rozumowaniu, miał duszę wrażliwą,
umysł jasny i zdrowy, a zarówno w zachwycie kon-
templacji, jak i wytrwałych ćwiczeniach kazo-
dziejskich gorący i zapalny. Stały w planach, nie-

ugięty w cnocie i niezmienny w dobroci, pozostawał sobą ciągle.

Przebaczał łatwo, gniew poskramiał długo, wyobraźnię miał lotną, pamięć rozległą, subtelny był w dyspacie, a oględny we wnioskach, surowy dla siebie, współczuł z innymi, a nigdy nie zdradzał tajemnic.

Był to człowiek wymowny, miły z postaci i wesoły, a daleki zarówno od prostactwa, jak zuchwałości. Wzrost miał średni, może nawet nieco przysadkowaty, głowę regularną, krągłą, twarz podługą, wyrazistą, czoło wąskie i płaskie, oczy średnio wielkie, czarne i szczere, włosy ciemne, brwi proste, nos regularny, prosty i kończysty, uszy małe, wysoko osadzone, skronie płaskie, język gibki, gorący, szpiczasty, głos porywczy i słodki zarazem, jasny i dźwięczny, zęby ściśle, równe, białe, wargi wąskie, wykuintne, brodę czarną z połyskiem jasnym, szyję długą i cieką, ramiona proste, ręce krótkie, dłonie małe, palce długie, paznokcie wypukłe, nogi drobne, małe stopy, skórę delikatną, a pod nią bardzo mało ciała. Ubiór jego był zgrzebnny, sypiał bardzo krótko, dłoń jego była hojna i zawsze otwarta. W pokorze serca swego stosował się do wszystkich i, będąc świętym pomiędzy świętymi, wydawał się pośród grzeszników niemal jednym z nich.

Zawsze gotów porzucić ten świat, jako miejsce wygnania i wędrówki, radował się ten szczęsny podróznik wszystkim wokół, uważając świat za pole bitwy, na którem walczyć trzeba przeciwko potęgom ciemności, oraz za czyste zwierciadło piękności bożej.

W każdym dziele podziwiał twórcę, wszelkie stworzenie odnosił do Stwórcy. Zachwycony wytworami ręki bożej, ujmował jasno ich pierwiastek ożywczy. Dostrzegał najpiękniejsze dzieła, ale wołały one: — Ten, który nas stworzył jest jeszcze tysiąckrotnie piękniejszy i lepszy! — Wszystko mu było drabiną do tronu Umiłowanego.

Nie gasił świecy, latarni, ni lampy, wzdragając się śmieć ich blask, będący może obrazem światłości wiekuistej.

Kroczył z szacunkiem po skałach, wspominając tego, który od słowa „petra“, czyli skała, Piotrem się zwał. Mając odmówić werset: — Wzniosłeś mnie na skałę... — powiadał dla większej czci: — Wzniosłeś mnie pod stopy twoje!

Ile razy bracia ścinał gałęzie, prosił, by zostawiali tyle, ile drzewu potrzeba do puszczenia nowych. Namawiał ogrodników, by nie kopali rowów granicznych, gdyż mury, tam wznoszone potem, zabierają bez celu miejsce drzewom i kwiatom, wielbiącym przedziwnego Ojca wszelkich stworzeń.

Polecał sadzić w kątku ogrodów warzywnych kwiaty wonne, przypominające rozkosze wiekuiste. Usuwał z drogi swej robactwo, by go nie deptać, oraz zwał bracią wszelkie zwierzęta, lubując się w łagodnych i spokojnych.

Wędrując przez dolinę Spoleta, napotkał w miejscowości Bevagna mnóstwo ptactwa. Pełen żołądka, miłości, politowania i słodyczy, nawet dla istot niższych i pozbawionych rozumu, przybiegał do nich Franciszek, porzucając towarzyszy. Widząc, że nań czekają, pozdrowił je, jak zwyczajnie, i rozradowany tem, że nie uciekają, poprosił, by wysłuchały słowa bożego. Jął mówić, a był w tem kazaniu, ustęp taki:

— Bracia ptaszkowię! Błogosławcież i miłujcie Stwórcę, który wam dał pióra na okrycie, skrzydła do latania i inne potrzebne rzeczy. Zaprawdę, uczynił was Pan szlachetnemi istotami pośród wszystkich, dając za mieszkanie czysty przestwór powietrza, a także żywi was, tak, iż, nie siejąc, ni orząc, macie czem głód zaspokoić.

Słyszając to, jęły ptaki radować się, niby prawdziwi bracia, wyciągać szyje, bić skrzydłami, zaś Franciszek chodził pomiędzy nimi, dotykając ich szatą swoją. Nakoniec udzielił im błogosławieństwa i pozwolił odlecieć wedle woli. Wróciwszy do towarzyszy, ruszył sługa boży w dalszą drogę,

pełen radości i podzięków dla Boga, którego wszystkie stworzenia znają i czczą, jak przystało.

Przyrodzona prostota Franciszka wzrastała ciągle jeszcze za łaską bożą, tak, że pod jej wpływem zaczął teraz żałować, iż zaniedbywał dotąd kazania ptakom, które z takim szacunkiem słuchają słowa bożego. Toteż nie pomijał odtąd ptactwa, płazów, stworzeń żywych wogóle, a nawet napominał martwe, by wielbiły Stwórcę, którego znają z doświadczenia.

Pewnego dnia przybył pod zamek Alviano. Wstąpiwszy na wzgórek, by go wszystkie stworzenia widziały, nakazał im milczenie. Zamilkły natychmiast jaskółki, piszczące wokoło gniazd swoich. W braku ludzi przemówił Franciszek do nich:

— Siostry jaskółki! Nagadałyście się dość, teraz słuchajcie mnie! Chcę wam głosić słowo boże, przeto siedźcie cicho, aż do końca kazania!

Ku wielkiemu zdziwieniu obecnych piski i polatywanie ustały, a żadna jaskółka nie drgnęła do ostatniego słowa. Widząc ten cud, powiadano sobie:

— Zaprawdę, święty to mąż i przyjaciel Wszechmocnego!

Ludzie cisnęli się doń, chcąc dotknąć ręk, czy odzieży Franciszka i chwalać Boga.

Gdy był pewnego dnia pod zamkiem Greccio, jeden z braci przyniósł mu żywego zajączka. Uniesiony litością, rzekł mu święty:

— Chodź do mnie, bracie zajączku! Czemużto dałeś się schwytać?

Puszczono zajączka, a on skoczył prosto na piersi Franciszka, szukając tam pewnej ochrony. Odpoczał potrosze, uspokoił się pod wpływem ojcowskich słów świętego i dostał pozwolenie wracania do lasu. Stawiano go kilka razy na ziemi, ale ciągle wracał doń, tak, że go musiał jeden z braci zanieść do pobliskiego lasu.

Tosamo zdarzyło się z dzikim królikiem na jednej z wysp jeziora Perugia, oraz z rybą schwytaną w jeziorze Reaturo. Ryba ta, puszczona do wody, wracała ciągle do łódki jego, ile razy przepływał.

My, którzyśmy byli często z błogosławionym Franciszkiem, stwierdzamy, że powtarzał nam te słowa:

— Gdybym stanął przed cesarzem, prosiłbym go imieniem Boga o wydanie rozkazu, by nie chwymano ni zabijano sióstr naszych, jaskółek, i nie czyniono im nic złego. Tak samo powinno być wyjęte rozporządzenie, by urzędnicy miast, zarządcy zamków i naczelnicy gmin rozrzucali po drogach i polach ziarno dla sióstr naszych jaskółek i innego

ptactwa. Przynajmniej w noc wigilijną powinno się, na pamiątkę Chrystusa, leżącego w żłobie pomiędzy wołem i osłem, zastawiać wołom i osłom co najlepszą strawę, a nazajutrz winni by bogacze podejmować ucztą biednych.

Siedział raz święty mąż u stołu z jednym bratem. Nagle zjawiała się para ptaków, jęły skakać wokół i zbierać okruszyny dla świeżo wylętych piskląt. Uradowany, głaskał je i darzył żywnością. Pewnego dnia ojciec-ptak i matka-ptaszka przywiedli świętemu całą czeredę żywionych jego kosztem ptasząt młodych, zostawili mu je, nie pokazując się odtąd wcale. Przyswojone rychło, ptaki te siadały mu na ramionach i głowie i osiedliły się w domu braci jako towarzysze. Widząc to, zachwycał się święty Franciszek rozumem ptaków i mówił braciom:

— Baczcież, o bracia, jaki rozum okazały te gile. Rzekły nam: — Wyżywiłście nasze dzieci, weźcież je sobie teraz i uczynicie z niemi co chcecie, my zaś poszukamy sobie innych pieleszy.

Przyswojone gile żyły przez czas pewien w wielkiej serdeczności z mnichami, aż dnia jednego harmonja została zburzona przez chciwość. Największy z ptaków jął prześladować mniejsze i słabsze. Najadłszy się do syta, wzbraniał innym dostępu do pożywienia.

— Patrzcież — mawiał Franciszek — co czyni ten skąpiec! Jest syty do pęku, a żałuje towarzyszących jadła. Zaprawdę, źle skończy ten żarłok!

Kara nastąpiła bardzo rychło. Prześladowca braci swych skoczył na dzban z wodą, by się napić, spadł i utonął bez ratunku, a żaden kot, ni inne zwierzę tknąć nie chciało przeklętego ptaka tego.

Nie sposób przytoczyć wszystko, co czynił św. Franciszek, kiedy żył wśród ludzi na tej ziemi. Któż zdoła wyrazić tę jego niezmierną tkliwość dla wszystkiego, co się wywodzi z Boga? Trudno, zaprawdę, dać wyobrażenie o radości, z jaką patrzył na przejawy bożej mądrości, dobroci i potęgi w tworach jego tej ziemi, a także w słońcu, księżycu i gwiazdach. O, jakże był święcie naiwny, jak prostoduszny! Dla robaków nawet miał serce, pamiętał bowiem słowa Chrystusa: — Robak ziemny, nie człowiek jestem! — Zbierał je tedy i zanosił w miejsca bezpieczne, by ich nie deptali przechodnie. Cóż mówić o innych stworzeniach? Chcąc uchronić pszczoły zimową porą od głodu i zimna, przynosił im wino i miód, a zawsze wielbił ich użyteczność i doskonały rozum. Taksamo sławił inne stworzenia.

Jak niegdyś trzech młodzieńcy hebrajsey, siedząc w piecu ognistym, wzywali wszystko, co żyje,

by wielbiło Pana, tak człowiek ów, przepojony duchem bożym nie przestawał błogosławić i wysławiać Stwórcę i Rządcę wszystkich pierwiastków i istot świata.

Wdzięk kwiatów, widok różnolitej ich krasy, oraz woni przejmował go radością niewysłowioną. Miewał wizje kwiatu wiosennego, który, rosnąc u stóp drzewa Jessego, zapachem swym wskrzeszał tysiące zmarłych. Widząc znaczną ilość kwiatów, głosił im słowo boże, jakby to były żywe istoty. Podobnie przemawiał do łanów zboża i winnic, strumieni, ogrodów, ziemi, ognia, powietrza i wiatru, napominając to wszystko w sposób przedziwnie dziecięcy i czysty, by czeło Boga. Każde stworzenie zwał bratem lub siostrą, a zarazem spostrzegał rzeczy ukryte we wszystkich, niewidzialne innym. Był jak ten, który, wolen więzów ziemi, żyje już w chwale Syna Bożego.

Imię Boga-Człowieka było mu świętością najwyższą. Ile razy je posłyszał, pałał radością niezmierną, która go zgolał przeistaczała. Także, znajdując coś pisanego, treści duchowej, czy świeckiej nawet, bądźto w domu, na drodze czy gdzieindziej, chował starannie w skrytce przystojnej, w tej myśli, że może się tam znajdować imię boże, lub coś, co Boga dotyczy. Bracia niektórzy pytali go raz, czemu zbiera tak troskliwie nawet rzeczy, pisane

przez pogan, gdzie nie było wzmianki o Bogu, on zaś odpowiedział:

— Synowie moi! Są tam przecież litery, z których się składa to chwały pełne imię! Zresztą wszystko, co dobre, nie pochodzi z czasów obecnych, ani nie jest dziełem ludzi, ale Boga samego, który stanowi źródło pierwotne wszelakiego dobra.

Przedziwne jest i to jeszcze, że, kiedy dyktował list, zawierający pochwałę lub napomnienie, nie pozwalał przekreślać jednego słowa czy litery, nawet gdyby były zbyteczne lub niewłaściwie użyte.

X.

PAPIEŻ HONORJUSZ III
i KARDYNAŁ OSTJI.



ługa boży, Franciszek, w nader zręczny sposób starał się bliźnim, nie sobie samemu, o to, co sprzyjało zbawieniu ich dusz. Całym jego pożądaniem osobistym było jeno zatonać w Chrystusie i żyć nim. Unikał wszystkiego, co,

związane z tym światem, mogło mu zmącić godzinę bodaj spokoju ducha. Czynił się głuchym na rozgwar zewnętrzny i skupiał myśl wyłącznie na Bogu. Wił sobie niejako gniazda w rozpadlinach skał, a mieszkał po grotach umartwień. W tych to szczęsnych pustelniach tonął często duszą w męce Pańskiej i zapominał o ziemi. Nie pozwalał sobie atoli na owe rozkosze osobiste, ile razy nadarzała się sposobność działania pośród ludzi dla dobra bliźnich. Ucieczką była mu modlitwa, długa, żar-

liwa, w pokoju i pokorze wielkiej odprawiana. Zaczynał się modlić wieczór, kończył rano, a nie zaprzestawał modłów nawet idąc, jedząc, czy pijąc. Przebywał nocami po opuszczonych kościołach i miejscach ustronnych, gdzie za łaską bożą przewycięzał wszelki strach i zwątpienie.

Wytrwały niezmiernie, myślał tylko o Bogu, a każąc wobec tysięcznych rzesz, był tak spokojny, jakby rozmawiał z domownikiem swoim. W niezmiernym tłumie widział jednego jeno słuchacza, a przemawiał równie troskliwie do jednego, jak do tłumy. Jasny umysł czynił słowo jego pewnem, a nie imając się żadnych przygotowań, wieścił wszystkim cuda zgola nowe. Chociaż czasem rozmyślał nad kazaniem, to wobec słuchaczy nie pamiętał już tego i wyznawał bez wstydu, iż nie wie nic, natomiast improwizował z tak niezmierną wymową, że porywał słuchaczy. Gdy nawet nie miał nic do powiedzenia, poprzestawał na geście, paru słowach i błogosławieństwie, a już to samo budowało wszystkich.

W owym czasie zmarł czcigodny ojciec, messere Jan de Saint-Paul, kardynał, który spieszył często z pomocą i radą Franciszkowi, zalecał innym kardynałom jego regułę i zbawienną działalność i nakłaniał, by kochali sługę bożego i jego braci. Za jego to sprawą każdy z kardynałów miał

na swym dworze po kilku Braci Mniejszych, nie żądając od nich żadnych przysług, a tylko radując się świętobliwością, którą tam wraz ze sobą wnosili.

Po śmierci messere Jana de Saint-Paul natchnął Bóg kardynała Hugolina, ówczesnego biskupa Ostji, by kochał, bronił i wspomagał Franciszka, oraz brać jego, on zaś zajął się nimi, jak ojciec rodzony synami, z zapalem wielkim i miłością. Dowiedział się o tem sługa boży i przybył doń wraz z braćmi. Kardynał przyjął go radośnie i powiedział:

— Oddaję się wam w zupełności poto, by wam dopomagać, służyć radą i obroną wszędzie i zawsze.

Oddawszy podziękę Bogu, rzekł mu Franciszek:

— Messere! Chcę mieć waszą dostojność za ojca i obrońcę zakonu, a bracia włączą cię, o panie, do codziennych modłów swoich.

Potem uprosił go, by przybył na kapitułę Braci Mniejszych, na co przystał i odtąd rok rocznie brał udział w tem zebraniu. Bracia wychodzili na przeciw z procesją, on zaś zdala już zsiadał z konia, szedł pieszo do kościoła N. P. Marji w Porcjunkuli i odprawiał mszę św., podczas której św. Franciszek śpiewał ewangelję.

Upłynęło lat jednaście od założenia zakonu, a braci namnożyło się tylu, że trzeba było wybrać

gwardjanów i rozesłać ich z pewną liczbą mnichów po wszystkich niemal stronach świata, gdzie kwitła wiara chrześcijańska. W niektórych krajach pozwalano im działać, ale zabroniono osiedlać się na stałe, z innych znowu wyganiano ich, uważając za odszczepieńców; ponieważ zaś papież Inocenty III nie zatwierdził reguły na piśmie, musieli znosić bracia mnóstwo prześladowań ze strony księży, zarówno jak i osób świeckich. Nieraz dochodziło do tego, że uciekali z różnych prowincji, wynędniali, zbici, udręczeni przez rozbójników i wracali do Franciszka, który frasował się tem mocno. Działo się to zwłaszcza w krajach zagórskich, w Niemczech i na Węgrzech.

Wybrał się Franciszek do Rzymu, by uzyskać ochronę dla zakonu, chcąc przytem gorąco przemówić do papieża Honorjusza i kardynałów jego. Powiadomiony o wszystkim kardynał Hugolin, chociaż kochał gorąco świętobliwego męża, doznał niejakiego strachu, z uwagi na jego zapalną, a naiwną prostotę. Zaufał atoli w Bogu i wprowadził go przed oblicze Ojca Świętego oraz kardynałów. Franciszek stanął przed licznem zebraniem i, otrzymawszy pozwolenie oraz błogosławieństwo, jął mówić odważnie. W ciągu przemowy ogarnął go taki zapal, że w rozradowaniu wielkiem wyrzucił potoki słów, podskakując i tańcząc niemal. Nie

czynił tego z rozmysłem, ale palony żarem miłości bożej, to też miast uśmiechów, dobywał ze słuchaczy westchnienia bolesne. Wielu doznało wzruszenia; podziwiali oni łaskę Boga i męstwo tego człowieka, zaś czcigodny biskup Ostji modlił się żarliwie, prosząc, by nie wzgardzono prostotą i naiwnością Franciszka, którego sława miała opromienić i jego samego, jako ojca rodziny Braci Mniejszych.

Franciszek przywiązał się doń bardzo, jak syn, i spoczywał słodko w cieniu łask jego. Hugolin pełnił w istocie odtąd całą pasterską misję i kierował zakonem, zostawiając jeno miano pasterza świętemu. Ileż musiał, w początkach zwłaszcza, znieść przeciwności, udaremnić zasadzek ludzi, chcących zniszczyć tę nową latorośl w winnicy Pańskiej, przez samego Boga zasadzoną? Iluż chciało zagarnąć owoce najczystsze i najśodsze! Wszystkich atoli pokonywał miecz tego ojca i czcigodnego zwierchnika, który był w istocie płomieniem wymowy, murem obronnym Kościoła, bojownikiem prawdy oraz przyjacielem biednych. Szczesny to był, zaprawdę, dzień, w którym Franciszek uciekł się pod skrzydła tak dostojnego mistrza!

Za sprawą messere Hugolina, biskupa Ostji, zatwierdził papież osobną bullą regułę, podyktowaną Franciszkowi przez samego Chrystusa. W tej

nowej regule przedłużono okres kapituły, dla większej wygody braci, wędrujących po dalekich krajach, a Franciszek uprosił jeszcze papieża Honorjusza, by mu dał ojca dla zakonu, którym zamianowany został tenże kardynał Hugolin. Do niego zwracać się mogli odtąd w potrzebie bracia.

Myśl tej prośby o poddanie zakonu pod autorytet kurji rzymskiej nasunęło Franciszkowi widzenie, jakie miał w tym czasie. Zobaczył w śnie małą, czarną kurę, tak obciążoną pisklętami, że nie mogła ich skryć pod skrzydła, a maleństwa rozpierzchały się na wszystkie strony, pozbawione opieki. Zaraz po obudzeniu jął dumać nad tem mąż boży. Niebawem podszeptał mu Duch święty, że on to sam jest ową kurą. Rzekł sobie: — Tak, ja jestem ową kurą, małą z postaci, czarną z natury, wzlatującą w niebo na skrzydłach miłości. — Stojąc przed dostojnikiem, opowiedział to widzenie i powtórzył słowa Ducha świętego, a skończywszy porucił papieżowi i kardynałom w opiekę zakon swój. Uczyniło to wielkie wrażenie i serca słuchaczy zadrgały miłością dla braci świętego męża.

Nakonec powiedział Franciszek papieżowi:

— Ojciec Święty! Wzruszony jestem do głębi, że przy ustawicznej pracy i trosce o dobro Kościoła raczyłeś, o panie, tyle czasu poświęcić nam, biedakom, Braciom Mniejszych. Gdy atoli tyle

bogatych i wspaniałych zakonów nie zawsze znajduje dostęp przed oblicze twoje, jakżeby z nami było, biedakami, których nieraz srodze nęka świat? Czyżbyśmy mogli, stojąc u drzwi twoich, marzyć nawet o uzaleniu się tobie, panie, wzorze cnót chrześcijańskich? Błagam tedy pokornie, racz nam dać, o Ojciec wszystkich, ojca własnego, tego oto monsignora Ostji, któryby nas przytulił i poratował w potrzebie, oczywiście zawsze za łaską twoją i wolą.

Spodobała się ta prośba papieżowi, zamianował kardynała Hugolina najwyższym protektorem zakonu, a tenże rozpostarł natychmiast ramiona nad uciśnionymi. Rozpisał listy do biskupów, prałatów i innych księży swej prowincji, z zaleceniem, by nie tylko nie utrudniali pracy Braciom Mniejszym, ale wspomagali ich, radzili im, oraz szli na rękę w sprawie kazań i czynności apostolskich, albowiem są świętobliwymi mnichami, zatwierdzonymi przez Stolicę Piotrową. Inni kardynałowie rozpisali też podobne listy.

Podczas pierwszej nowej kapituły upoważnił Franciszek gwardjanów do przyjmowania braci zakonnych i, opatrzywszy bullą papieską, listami kardynalskimi i regułą, rozesłał ich z powrotem po wrogich dotąd prowincjach. Wobec tych dowodów, zaprzestano wszędzie prześladowania, tak, że bracia

— mogli swobodnie stawiać budynki, mieszkać i wygłaszać kazania w każdej prowincji.

Na kapitule tę przybył, jak zawsze, kardynał-protector, tym razem zabierając do Porcjunkuli dużo rycerstwa i duchownych osób. Zapragnął on zobaczyć sypialnię braci, a widząc, że legają na słomie jeno i gałęziach, zapłakał i rzekł:

— Tak oto spijają oni, gdy my opływamy w dostatki! Cóż nas czeka za kara?

Wszyscy byli tem zbudowani wielce.

Widząc tak szczere przywiązanie, pokochał Franciszek bardziej jeszcze kardynała, ponieważ zaś miał objawienie, że zostanie głową Kościoła, zwał go w listach ojcem świata i kładł taki adres: — Do Najdostojniejszego w Bogu Ojca całego świata.

Podczas pobytu w Porcjunkuli otrzymał Franciszek we śnie rozkaz boży, by się stawił przed papieżem Honorjuszem, przebywającym czasowo w Perugji, i poprosił o odpust dla kościółka N. P. Marji, który sam naprawił. Wstał rano, i zabrawszy brata Masseo de Marignano jako towarzysza, stawił się przed messere Honorjuszem, mówiąc:

— Ojcie święty! Niedawno wyporządziłem i odbudowałem kościół macierzysty zakonu mego, poświęcony czci N. P. Marji. Błagam teraz, racz

go Ojcie hojnie wyposażyć odpustami, co będzie darem twoim.

— Ileż żadasz lat i jaki to ma być odpust? — spytał papież.

— Nie daj wasza świętobliwość lat odpustu, ale daj duszę Kościołowi temu! — powiedział Franciszek — potem zaś dodał: — Pragnę, Ojcie Święty, by ten, kto przyjdzie do Porcjunkuli, po należytej spowiedzi i w stanie łaski będąc, doznał odpustu zupełnego od grzechów, poczynawszy od chrztu św., aż do dnia przybycia tam.

Zdziwił się wielce messere papież i rzekł:

— Wielkiej zaprawdę rzeczy żadasz, bracie Franciszku! Kurja Rzymska nie użyczyła jeszcze dotąd takiego odpustu!

Ale Franciszek odparł:

— Messere, to jest żądanie nie moje, ale tego, który mnie posłał, Pana naszego, Jezusa Chrystusa.

Wówczas rzekł papież po trzykroć:

— Niech się stanie, jako chcesz! Masz ten odpust!

Ale obecni dygnitarze i kardynałowie, zdziwieni bardzo, jęli przedstawiać:

— Wasza Świętobliwości! Jeśli dasz tak niesłychany odpust temu mnichowi, utracisz wszystkie odpusty zagraniczne!

A papież odpowiedział:

— Dalem mu już ten odpust, nie mogę go cofać i psuć tego, com uczynił. Trzeba to jeno ograniczyć i ustanowić ważność tego odpustu na jeden dzień w roku. — Przywołał potem ponownie Franciszka i rzekł mu: — Oto dnia dzisiejszego postanawiam, że ktokolwiek wejdzie do wymienionego kościoła w skrusze, po dobrej spowiedzi, wolen będzie od wszystkich grzechów i kar. Jest wolą moją, by przywilej ten ważny był rok rocznie, na wieki, przez czas dnia jednego w roku od początku niesporów, aż do końca niesporów dnia następnego.

Franciszek, sługa boży, schylił pokornie głowę i skierował się do drzwi, ale papież przywołał go raz jeszcze i rzekł:

— O święta naiwności! O prostoto bez granic! Dokądże to idziesz, bracie? Jakiżto masz dowód tego odpustu?

A świętobliwy mąż odrzekł:

— Ojciec Święty! Starczy mi słowo Głowy Kościoła. Jeśli jest to dzieło boże, sam Bóg zaświadczy.

Niedługo potem zmarł papież Honorjusz III, a na Stolicy Apostolskiej zasiadł kardynał Ostji, przybierając imię Grzegorza IX. Aż do końca życia opiekował się on Braćmi Mniejszych, innymi zakonami, a zwłaszcza ubogimi Chrystusa Pana, co go prawdopodobnie uczyniło świętym.

Jaśniały wówczas w Rzymie dwie pochodnie wiary: Franciszek i Dominik. Pewnego dnia wiedli budujące rozmowy o Bogu wobec nowego papieża, a on rzekł im na końcu:

— W Kościele pierwotnym pasterzami i prałatami byli ludzie biedni, przepojeni miłosierdziem, nie zaś chciwością. Czemużby nie uczynić braci waszych biskupami i prałatami, skoro prześcigają innych wiarą i przykładem życia?

Dwaj święci mężowie jeli teraz współzawodniczyć w odpowiedzi, w sposób pokorny i nabożny, każdy chciał bowiem, by nie on był pierwszym. Wkońcu zwyciężyli obaj, Franciszek bowiem nie rzekł przez pokorę nic, Dominik zaś zniewolony posłuszeństwem, rzekł skromnie:

— Ojciec Święty, braciom moim wolno, jeśli chcą, przyjmować godności kościelne, ja jednak uczynię, co tylko będę mógł, by nie dopuścić ich do olśnienia temi dostojnościami!

Z kolei skłonił się Franciszek i powiedział:

— Ojciec Święty! Bracia moi są Mniejsi, jakoż mogą dążyć do stania się Większymi. Reguła i powołanie każe im kroczyć po drodze pokory Chrystusowej, poto, by po śmierci wznieść się ku wyżynom świętości. Jeśli mają dawać pożytek Kościołowi, zachowaj ich, o panie, przy powołaniu,

gdyby zaś sięgali wzwyż, zepchnij ich na niziny i nie pozwól, by zostali prałatami.

Takie dali odpowiedzi święci, a Grzegorz IX zbudował się niemi i rozradował wielce.

Gdy wyszli od papieża, poprosił Dominik Franciszka, by mu podarował sznur, którym był opasany. Franciszek odmówił jednak przez pokorę tego, o co tamten prosił z nabożności. Ale uniesiony zapalem postulanta, Dominik odebrał delikatnie sznur Franciszkowi, zawiązał pod habitem i nosił go odtąd ciągle.

Ujęli się potem za ręce i polecili modłom wzajemnym.

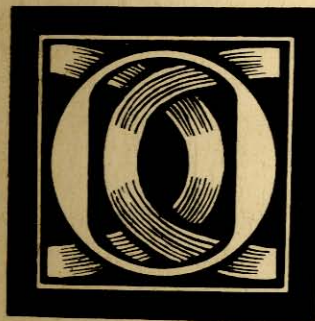
— Chciałbym, bracie Franciszku, — powiedział Dominik, by twój i mój zakon był jednym zakonem, tak, byśmy żyli na tensam sposób w łonie Kościoła.

Gdy się wreszcie rozstali, rzekł Dominik otaczającym go braciom:

— Zaprawdę, zaprawdę, wszyscy zakonnicy powinni naśladować Franciszka, bo doskonałą jest świętość jego!

XI.

PRACA KAZNODZIEJSKA W EGIPCIE.



to, co powiada o błogosławionym Franciszku Jakób de Vitry, biskup Saint-Jean-d'Acre, w listach do zakonnic, krewnych i przyjaciół w Lotaryngji, pisząc po zdołaniu przez Krzyżowców Damietty:

— Błagajcie, błagajcie nieustannie Boga o zwycięstwo armji Jezusa Chrystusa, by winna latorośl pełniła się w Ziemi Świętej, by kościoły powstały z gruzów, by wypędzono niewiernych, by wiara wskrzesła i by wzniesione zostały na nowo mury Jeruzalem, obalone przez nieprzyjaciół. Pozdrawiają was towarzysze nasi i przyjaciele, Jehan de Dinant, Jehan de Cambrai, pieśniarz nasz i Henryk, seneszał naszego Kościoła.

Otóż wiedzcie, że czcigodny Renier, prior Św.

Michała wstąpił do zakonu Braci Mniejszych. Zakon ten rozplenił się szybko po całym świecie, ponieważ wstępuje w ślady Kościoła pierwszych wieków i naśladuje żywot Apostołów. Mistrzem jego jest Franciszek, człowiek tak miły, że wszyscy go odwiedzają. Przybył do naszej armji, takim przepojony zapalem, że się nie wahał iść pomiędzy nieprzyjaciół. Głosił Saracenom przez wiele dni słowo boże, ale nie odniósł skutku. Sultán wysłał doń jednak potajemnie z prośbą, by błagał Boga o taką wiarę dla niego, dla króla Egiptu, która najlepiej się podoba Bogu Wszechmocnemu. Do tegoż zakonu wstąpili Colin, Anglik, kapelan nasz i dwaj inni towarzysze, to jest Michał, oraz mesir Mathieu, któremu potem poruczyłem pieczę nad naszym świętym Kościołem. Radbyśmy byli powstrzymać Henryka i innych. Jestem chory na serce i chcę zakończyć życie w spokoju. Wysłaliśmy wam dwoje małych dzieci, ocalonych z pożaru Babilonu, wraz z różnemi jedwabiami i listami. Pokażcie te listy księdzu de Villars, oraz innym przyjacielom i bywajcie zdrowi.

Porwany miłością bożą i żądzą męczeństwa, przeprowił się ojciec Franciszek za morze, wraz z dwunastu świętobliwymi braćmi, zdążając najprostszą drogą do sultana. Dotarłszy do kraju niewiernych, zastali wszystkie drogi osaczone ludźmi

srogimi, tak, że żaden z chrześcijan nie mógł na nich uniknąć śmierci. Było atoli wolą bożą, by ocalili. Schwytano ich, zbito i okutych w kajdany zaprowadzono do sultana. Gdy go jeno ujrzał, jął Franciszek z natchnienia Ducha Świętego głosić wiarę katolicką w sposób nadziemski zgola i ofiarował się bronić jej próbą ognia. Sultán powziął dlań cześć wielką, z uwagi na stałość w wierze i pogardę rzeczy ziemskich. Pozbawiony wszystkiego, nie chciał nic przyjąć, złąkniony jeno męczeństwa. Sultán słuchał go chętnie i zapraszał często, ponadto zaś uwolnił wszystkich, pozwalając głosić wiarę w całym państwie. Wręczył jeszcze Franciszkowi jakąś pieczęć, która ich miała chronić od prześladowań.

Uzyskawszy to pozwolenie, powysyłał błogosławiony mąż braci po dwu w różne części kraju, a sam wyruszył także z jednym towarzyszem. Pewnego dnia zatrzymał się dla odpoczynku w gospodzie. Napotkał tam piękną, lecz wszeteczną wielce kobietę, która mu zaproponowała czyn grzeszny. Franciszek rzekł jej:

— Jeśli chcesz, bym cię usłuchał, musisz także usłuchać mnie.

— Zgoda! — odparła kobieta.

— Chodź tedy ze mną, a pokażę ci nader piękne łoże.

Zaprowadził ją do izby, gdzie płonął wielki ogień na kominie. Potem rozpłoniony zapalem duszy, rozebrał się spiesźnie i jak na łożu legł nagi na płonących drwach, wołając:

— Rozbierajże się coprędzej! Skorzystaj z tego łoża lśniącego, ciepłego, rozkwieconego przedziwnie. Kładź się, jeśli chcesz, bym cię usłuchał!

Ogień nie tknął nawet świętego, a Franciszek leżał wesoło pośród płomieni, jakby wśród kwiatów. Na widok cudu, popadła owa kobieta w taki zachwyt, że nie tylko porzuciła grzeszny żywot, ale, wyrwawszy się z ciemności, uwierzyła w Pana naszego, Jezusa Chrystusa.

Przekonawszy się, że mimo wszystko nie zbierze na Wschodzie plonu upragnionego, przyzwał Franciszek do siebie z rozkazu Boga braci w celu powrotu. Poszedł do sułtana i zawiadomił go o tem, co postanowił.

— Bracie Franciszku! — rzekł sułtan — Nawróciłbym się chętnie do Chrystusa, ale pewny jestem, że Saraceni moi, na wieść o tem, zamordowaliby mnie natychmiast, a potem ciebie i braci twoich. Ponieważ masz jeszcze dokonać dużo dzieł użytecznych, a ja także muszę pracować nad zbawieniem duszy mojej, przeto nie chcę przyspieszać naszej obopólnej śmierci. Wskaż mi tylko sposób ocalenia, a posłucham twej rady.

Na to rzekł mu Franciszek:

— Panie! Coprawda, odejdę stąd, ale, gdy po powrocie do kraju z rozkazu Boga przeniosę się do nieba, przyślę ci dwu braci, którzy cię ochrzczą i w ten sposób uzyskasz zbawienie. To, co słyszysz, objawił mi Pan nasz, Jezus Chrystus. Nim to nastąpi, oswobodź się od wszelakich spraw, tak, by łaska boża zastała cię przysposobionego wiarą i nabożnością.

Przystał na to sułtan z radością i wykonał wszystko wiernie. Franciszek, zaś pożegnawszy go, wrócił do kraju wiernych.

W kilka lat później zachorował sułtan, a mając ufność w obietnicę świętego, który był już osiągnął niebo, postawił strażników u wszystkich bram pałacu, przykazując, by wypatrywali dwu ludzi w sukniach franciszkańskich, gdy zaś ich ujrzą, by przywiedli mu ich coprędzej.

W onym to czasie zjawił się święty dwu braciom i kazał im jechać niezwłocznie do sułtana, spełnić daną przezeń obietnicę. Dokonali z nabożeństwem wielkiem tej misji świętej. Przepłynęli morze i zostali wprowadzeni do pałacu przez strażników. Na ich widok zapłonął sułtan radością wielką.

— Teraz widzę — zawołał — że mam przed sobą wysłańców Boga. To, co mi obiecał usta św. Fran-

ciszka, spełnił dla zbawienia mego, wiodąc was do mnie bezpiecznie.

Otrzymał z rąk braci księgę wiary i chrzest, poczem, uleczony z grzechów, zbawiony przez zaślugi świętego Franciszka, przeniósł się do Boga, aby zażywać wieczystych rozkoszy.

XII.

TRZECIA REGUŁA. ROZŁAM W ZAKONIE.



logosławiony Franciszek sporządził trzy reguły. Pierwszą zatwierdził mu papież Inocenty III., nie ogłaszając jednakowoż urzędowej bulli. Druga, krótsza, zaginęła podczas nieobecności świętego, a trzecia na koniec, zatwierdzona bullą papieża Honorjusza, stała się źródłem mnóstwa kopij, sporządzanych wbrew woli Franciszka.

Po utracie reguły drugiej, wstąpił Franciszek na Monte Colombo (pod Rieti), zabierając ze sobą braci Leona z Asyżu i Bonizza z Bolonji w celu spisania trzeciej pod dyktandem Boga. Tymczasem zebrali się gwardjanowie, poszli do brata Eljasza, wikariusza Franciszka, i rzekli mu:

— Dowiedzieliśmy się, że Franciszek pisze nową

regulę. Obawiamy się, że będzie zbyt surowa, chcemy tedy, bracie, byś doń poszedł i zawiadomił, iż wzbraniamy się podlegać jej. Niechże ją pisze dla siebie, nie dla nas!

Brat Eljasz odpowiedział, że sam nie pójdzie, chyba razem z nimi — i poszli wszyscy.

Doszedłszy w poblizie miejsca, gdzie przebywał Franciszek, zawołał brat Eljasz, a mąż świętobliwy spytał, widząc gwardjanów:

— Czegóż chcą ci mnisi?

— To są gwardjanie! — odparł brat Eljasz. — Dowiedziawszy się, że piszesz nową regulę, zdjęci obawą, by nie była zbyt surowa, sprzeciwiają się jej i mówią, że obowiązywać będzie ciebie, nie zaś ich.

Usłyszawszy to, podniósł oczy w niebo i rzekł Chrystusowi:

— Panie, czyżem ci nie mówił, że ci ludzie nie uwierzą mi?

I zaraz rozebrzmiał głos Chrystusa z góry:

— Franciszku! W regulę tej niema nic twego. Wszystko sam nakazałem i chcę, by ona była przestrzegana co do litery bez żadnych, ale to żadnych przeróbek. Wiem do czego zmierza słabość ludzka i chcę temu zapobiec. Przeto, kto nie podda się regulę, niech wystąpi z zakonu!

Franciszek odwrócił się do braci i spytał:

— Czyście słyszeli? Czy powtórzyć wam może?

Gwardjani spojerali po sobie przez chwilę, zmieszani, oskarżając się wzajemnie, potem zaś odeszli, pełni przestrachu.

Podczas wielkiej kapituley generalnej, odbytej pod przewodnictwem Franciszka, udało się wielu braci i biegłych w Piśmie do obecnego na niej kardynała Ostji i rzekli mu:

— Racz, o panie, nakłonić błogosławionego Franciszka, by usłuchał rady braci mądrych, uczonych i dał się im kierować!

Cytowali reguły św. Benedykta, Augustyna i Bernarda, a kardynał powiedział o tem Franciszkowi, dla ostrzeżenia go. Błogosławiony mąż nie odrzekł nic, ale ujawszy go za rękę, zaprowadził przed zebranych na kapitule i tak powiedział:

— O bracia moi! Bóg mi wytyczył drogę prostoty i pokory, a także tym, którzy wstępują w ślady moje. Nie przedkładajcież mi tedy reguł św. Bernarda, Benedykta, ni Augustyna, nie proponujcie też sposobu życia innego, nad wskazany mi przez Boga. Jest wola bożą, hym był nowym, odrębnym zgoda i prostym na tym świecie, a nie chce mnie mieć biegłym w innej, niż ta, wiedzy. Was atoli, pełnych erudycji, pogrąży rychłe Pan. Oddaję nad wami sąd Najwyższemu, który sprawi, że wrócicie

ze wstydem wielkim, wbrew woli swej do nędzy i pokory!

Zdziwiły ich wielce te słowa; nie odrzekli nic, ale większość braci ogarnęło przerażenie.

Użał się mąż boży, Franciszek nieraz na tych, którzy zaniedbywali cnotę, by się imać wiedzy pełnej zarozumiałstwa. Ile razy któryś z braci przekraczał powołanie swoje, mawiał mu:

— Brat, ulegający pociągowi ku wiedzy, będzie bezsilny i bezbronny w dniu wielkiego prześladowania i próby. Chcę, by się umacniał jeno w cnotcie, gdyż w dniu onym uzyska oparcie w Panu, a wszelkie niepotrzebne księgi wyrzucone zostaną wówczas za okno i w ciemności.

Mówiąc tak, nie chciał odradzać czytania Pisma Świętego, ale uwolnić pragnął świat od próżnego nadmiaru nauki i troski o wiedzę. Bracia mieli opierać dobroć swą raczej na sercu, niżli na subtelnościach rozumu.

Pewnego razu brat nowicjusz, zaledwo umiejący czytać, dostał pozwolenie od przełożonego na posiadanie psalterza, ale posłyszawszy, że św. Franciszek niechętny jest książkom, nie chciał posiadać psalterza bez jego wiedzy, rzekł mu tedy:

— Ojcie! Wielką byłoby mi pociechą mieć psalterz i dostałem pozwolenie od gwardjana, ale nie chcę go mieć bez wiedzy twojej.

Odparł Franciszek:

— Cesarz Karol Wielki, Roland, Oliwjer, paladyni i przyrzeci potężni byli w boju, ścigając niewiernych. Walcząc z zapalem aż do śmierci, zmarli po wielu zwycięstwach jako święci męczennicy. Dzisiaj jest wielu takich, którzy, opowiadając i głosząc czyny, dokonane przez bohaterów i świętych, przywłaszczają sobie ich zasługi i chwałę! — Mówiąc to, chciał wyrzucić: — Nie należy zajmować się książkami, ni wiedzą, jeno działać, pełniąc cnotę, gdyż wiedza przepaja pychę, a miłość jeno buduje.

W kilka dni później siedział Franciszek u ogniska, a brat nowicjusz przypomniał mu o psalterzu. Rzekł mu mąż boży:

— Mając psalterz, zapragniesz brewjarza, a mając brewjarza, siądziesz na wysokim krześle, niby prałat i powiesz: „Podajcieno mi mój brewjarz!“

Rzekłszy to z wielkiem uniesieniem, chwycił Franciszek garść popiołu i jął pocierać nim głowę swoją, jakby się mył, wołając raz poraz:

— Jam jest brewjarz! Jam jest brewjarz! — Brat patrzył zdumiony i pełen wstydu, a sługa boży dodał te słowa: — I ja także, o bracie, pożądałem książek, ale, chcąc poznać wolę bożą, wziąłem Ewangelię świętą, prosząc, by mi za pierwszym

jej otwarciem objawił czego chce. Oczy moje padły na słowa: „Danem wam jest poznać tajemnice Królestwa Bożego, inni zaś poznać je będą mogli jeno przez parabole i przyrównania!“ Dodał jeszcze: — Wielu sięga na wyżyny wiedzy, ten jeno jednak zostanie błogosławionym, kto jałowym będzie przez miłość dla Boga.

W kilka miesięcy potem znajdował się święty Franciszek w Porcunkuli, siedząc w celi, poza kościołem N. P. Marji, a ów brat zaczął znowu o tym psalterzu. Na to rzekł mu Franciszek:

— No, dobrze, dobrze, idź i uczyni, jak ci kazał gwardjan twój! — Brat odszedł z powrotem, ale Franciszek, rozważywszy słowa swoje, zerwał się, pobiegł za nim i jał wołać: — Czekałno bracie! Czekał! — Dobiegłszy doń, powiedział: — Wróć ze mną na miejsce, w którym ci poleciłem, byś uczynił wedle słów gwardjana twego. — Gdy doszli na ono miejsce, ukląkł święty mąż przed bratem i jał mówić: — Mea culpa! Mea culpa! Ten, kto chce być Bratem Mniejszym, posiadać winien, jak każe reguła, jedną jeno szatę, sznur i spodnie, zaś sandałów używać mu wolno jeno w koniecznej potrzebie! — Powtarzał też często: — Człowiekowi daną jest ta wiedza, której potrzebuje do działania. Wartość kaznodziei mierzy się jeno skutkiem słów jego. Ocenia się pracownika wedle dzieła jego.

Chcąc dochować cnoty Pokory świętej, złożył na parę lat przed śmiercią podczas kapituły godność zwierzchnika zakonu, mówiąc:

— Od dnia dzisiejszego umarły jestem dla was. Macie wszyscy wraz ze mną słuchać brata Piotra dei Catani!

To rzekłszy, padł wobec wszystkich na ziemię i złożył ślubowanie posłuszeństwa i szacunku. Wszyscy płakali i jęczeli, jak sieroty, pozbawione takiego ojca, Franciszek zaś wstał, wzniósł oczy w niebo, złożył ręce i zawołał:

— Panie! Oddaję opiece twojej rodzinę, którą mi powierzył, a to z powodu znanych ci dobrze o Panie mój, ułomności moich. Nie mając sił trościć się tem dłużej, zdaję sprawę zakonu zwierzchnikom, naznaczonym przez ciebie. Wezwij ich, o Panie, w dniu Sądu, do zdania sprawy, jeśliby niektórzy bracia odpadli skutkiem ich niedbalstwa, złego przykładu lub zbyt ostrych kar.

W jakiś czas potem oddał nawet bliskich towarzyszy wikarjuszowi swemu, mówiąc:

— Nie chcę się wyszczególniać przywilejem dowolnego wyboru towarzyszy specjalnych. Niech tedy za natchnieniem bożem przyłącza się do mnie któryś od czasu do czasu. Widziałem niedawno ślepcę, mającego jeno pieska za przyjaciela. Mnie i tak lepiej będzie, niż jemu.

Pytali go bracia, czemu ich siebie pozbawił, zdając w cudze ręce, jakby nie był ich ojcem, Franciszek zaś odpowiedział:

— Synowie moi, kocham braci, o ile tylko mogę, a kochałbym ich bardziej jeszcze, gdyby wstępowali w moje ślady i nie oddawałbym ich innemu. Wielu atoli prałatów pociąga ich ku sobie i oddala od nauki pierwotnej. Okaże się w końcu jasno, do czego to doprowadzić musi.

Chcąc przetrwać do samej śmierci w pokorze i zupełnem posłuszeństwie, powiedział przełożonemu generalnemu:

— Zdaj twą władzę i nadzór nade mną któremuś z towarzyszy moich, którego jako ciebie słuchał będę dla zachowania przepisu posłuszeństwa; niech on zostanie moim zwierzchnikiem aż do śmierci.

Od dnia tego aż do końca życia miał za nadzorcę jednego z towarzyszy i był mu posłusznym, jak zwierzchnikowi generalnemu. Raz rzekł nawet towarzyszom:

— Bóg mi użył tej łaski, że słuchać mogę nowicjusza, który wstąpił dziś dopiero do zakonu, zupełnie jakby to był najstarszy z pośród braci. Prawdziwie posłuszny Brat Mniejszy uważać winien każdego z przełożonych swoich za samego

Boga i przez miłość ku niemu trwać w posłuszeństwie.

Potem rzekł jeszcze:

— Niema w świecie prałata, któregobym się bał więcej, niż, z woli bożej, braci moich własnych. Atoli Bóg użył mi tej łaski, że czuję się zadowolonym z wszystkiego, jak najmniejszy w zakonie.

— W istocie — mawiał potem brat Leon — widzieliśmy to dobrze wszyscy. Ile razy któryś z braci nie zadowalał go, powiadał mu kilka tych słów, które wstrząsają ludźmi, potem zaś szedł modlić się. Za powrotem nie pamiętał już o niczem i nie wypominał zaniedbania.

Im bardziej bliski był śmierci, tem uporniej trzymał się tego sposobu życia, przestrzegając jeno pokory, ubóstwa i doskonałości w cnotach.

Franciszek odwiedzał często świętobliwą Klare, umacniając ją słowem boskiem, ona zaś prosiła nie-raz ojca swego duchowego na wspólną, skromną, zakonną ucztę. Ale odmawiał zawsze, chętni zaś życzeniom Klary bracia mówili mu:

— Jest to surowość, niezgodna, zaprawdę, z postulatami miłości niebiańskiej, że odmawiasz dziewicy tak świętej i miłej Bogu. Wszakże prosi jeno o wspólne spożycie z tobą jadła! Żaliż więk-

szych jeszcze łask nie powinienbyś użyzyć tej, która jest odroślą twoją?

Spytał tedy Franciszek:

— Sądziecie, iż powinienem ulec jej prośbom?

— Tak! — odrzekli — Zasługuje ona w zupełności, ojcze, na to.

— Ano, skoro tak wam się podoba, podoba się i mnie! — przyznał wkońcu — By jednak pociecha duchowa była tem pełniejszą, wspólna wieczerza odbędzie się tutaj, u Najśw. Panny Anielskiej. Klara, zamknięta już tak dawno u św. Damjana, z przyjemnością zobaczy na chwilę te miejsca, gdzie poświęciła włosy oblubieńcowi swemu, Chrystusowi Panu. Tu więc spożyjemy wieczerzę w imię boże.

Oznaczył dzień, w którym błogosławiona Klara miała przybyć w otoczeniu towarzyszek i sióstr zakonnych. Powitano ją radośnie, uczczono Najśw. Pannę Marię Anielską, potem zaś, gdy pora nadeszła, polecił Franciszek zastawić jedzenie, jak zwykle, na trawie, w ogródku klasztornym. Siedli obok siebie Franciszek i Klara, wokoło zaś bracia i siostry. Na pierwsze danie wygłosił mąż boży kazanie tak porywające, że on sam, Klara i siostry i bracia zakonnici popadli w zachwyt, czując bezmiar łask, jakimi ich zasypał Wszechmocny. Siedzieli bez ruchu, podniósłszy ramiona w niebo i spoglądając w górę, a jednocześnie wydało się miesz-

kańcom Asyżu, Betuny i okolicy, że klasztor i las otaczający go płonie, pochłonięty olbrzymim pożarem. Ruszyli wskok na ratunek, pewni, że staną same jeno zgłiszczą, przybywszy jednak na miejsce, spostrzegli, iż wszystko w porządku stoi na miejscu. Wszedłszy do ogródka, zobaczyli Franciszka, Klarę, braci i siostry zakrzepłych w zachwycie przy skromnej biesiadzie. Poznali teraz, iż był to ogień niebiański i odeszli pełni radości, zbudowani i pocieszeni wielce.

Franciszek, Klara i inni biesiadnicy uczuli się tak sytymi i wzmocnionymi ową pociechą niebiańską, że nie mogli już niemal tknąć pożywienia materialnego.

XIII.

CNOTY FRANCISZKAŃSKIE.



ako prawdziwy przyjaciel i naśladowca Chrystusa, gardził Franciszek wszystkim, co było rzeczą tej ziemi, a nadewszystko pieniędzmi; to też słowem i przykładem nauczał braci, by ich unikali, jak samego djabła. Mówił im, by pieniądze mieli w sercach swoich za jedno z kobietą. Pewnego dnia jakiś człowiek świecki, pomodliwszy się w kościele Porcjunkuli, złożył pod krucyfiksem w ofierze monetę srebrną. Gdy odszedł, jeden z braci wyrzucił pieniądź za okno. Doniesiono o tem Franciszkowi, a przerażony brat jął prosić o przebaczenie i padł na ziemię, gotów narazy. Franciszek zburczał go ostro, że dotknął monety, potem zaś rozkazał, by wziął ją z pod okna w zęby i, wyniosłszy poza klasztor,

złożył własnymi ustami na oślem łąjnie. Przerazili się wszyscy, jeli odtąd gardzić bardziej jeszcze pieniędzmi, zrównanemi z oślim gnojem. Codziennie też wprawiał ich mąż boży do tej wzgardy w różny sposób.

Podczas pobytu Franciszka w pustelni św. Eleuterjusza pod Rieti nastały wielkie chłody, a sługa boży podszyl szatę swą i swego towarzysza Richera kawałkami futra, tak że ciała ich, zaczęły zwolna przychodzić do siebie. Pewnego dnia rzekł do towarzysza, wróciwszy z modlitwy:

— Mam świecić przykładem innym braciom, więc, chociaż podszycie sukni dobrze robi ciału memu, winienem myśleć o tych, którzy tego nie mają i mieć nie mogą. Przystoi mi znosić tesame, co oni, dolegliwości, by niedostatek mój uczył ich cierpliwości.

Nie sposób powiedzieć, ile razy odmawiał sobie rzeczy najniezbędniejszych i ile razy dawał także same wskazówki coraz to liczniejszym uczniom swoim.

Jeden z bardzo bliskich mu i miłych braci kazał sporządzić w pewnej pustelni, do której zachodził, zaciszną celę na modlitwę. Zbudował ją z ciosanego i heblowanego wewnątrz drzewa. Gdy błogosławiony mąż przybył, brat zaprowadził go tam, ale Franciszek rzekł mu:

— Ta cela jest zbyt piękna dla mnie! Jeśli chcesz, bym został, zasłoń ściany gałęzmi, a na podłogę narzuć kamieni.

Przebywał chętnie po najuboższych domach i chatach, to też brat ów, chcąc go zatrzymać, uczynił zadość jego woli.

Pewnego dnia jeden z braci szukał Franciszka, a nie zastawszy go w tej celi, ruszył dalej na spotkanie.

— Skądże idziesz? — spytał go mąż boży.

— Wracam z twojej celi.

— Czemuż ją zwiesz moją? Zajmie ją drugi, a po nim inni jeszcze, nie jest przeto moją.

Brat Leon wspomina, że powtarzał ciągle:

— Lisy mają nory swoje, ptaki gniazda, a syn człowieczy nie miał gdzie skłonić głowy! — Dodał też: — Gdy Chrystus Pan przebywał na pustyni, poszcząc czterdzieści dni i nocy, nie budował chaty ni domu, ale mieszkał pod skalą! — Idąc w te ślady, nie chciał mieć domu ni celi własnej i nigdy nie wznosił dla siebie samego żadnego budynku. Jeśli się zdarzyło czasem, że powiedział braciom: — Przysposobcież mi celę! — to, spostrzegłszy się, nigdy w niej nie mieszkał, pamiętny słów Ewangelji świętej: — *Nolite esse solliciti...* Będąc bliskim śmierci, kazał napisać w testamencie, że cele i domy braci winny być zbudowane wy-

łącznie jeno z drzewa i gliny, by tem lepiej odpowiadały regule ubóstwa i pokory.

Kiedy Franciszek przebywał w Rzymie u kardynała Ostji, później papieża Grzegorza, poszedł tuż przed obiadem zebrać po domach. Siedzieli już przy stole liczni rycerze i dostojnicy, gdy wrócił i usiadłszy przy panu domu, postawił przed sobą zebrać misę, pełną odpadków. Mimo miłości, jaką dlań pałał, niezadowolony był z tego kardynał, ale nie rzekł nic, ze względu na współbiedników. Franciszek spożył trochę użebranego jadła, potem zaś polecił służącemu, by zaniósł poszczególnym rycerzom i kapelanom kardynalskim po kawalku, mówiąc, iż jest to dar od Boga. Wszyscy przyjęli to z radością, jedni spożyli zaraz, inni zaś schowali z szacunkiem, pełni uwielbienia dla sługi bożego. Uradowała wielce kardynała ta pobożność gości, gdyż odpadki owe wcale apetyczne nie były.

Po uczcie zabrał kardynał Franciszka do swego gabinetu, objął go serdecznie, ucałował i spytał.

— Czemuż, drogi sercu memu bracie, zrobiłeś mi ten wstyd i w wielkiej prostocie swojej przyniosłeś jałmużnę do domu mego, który jest domem Braci Mniejszych?

Mąż błogosławiony odrzekł:

— Żaliż nie jest to, o panie, największy zaszczyt, jakim cię mogłem odznaczyć? Gdy podwładny pełni swój obowiązek, zaszczyt spada na pana jego. Winienem być przykładem i wzorem braci moich, zwłaszcza, że, jak wiem, jest wielu i będzie wielu jeszcze w zakonie takich, którzy, mimo że są Braci Mniejszymi, czują się i uczują potem upokorzonymi tą moją pokorą. Wielu gardzi i gardzić będzie zebraniem i pracą ciężką. Muszę tedy czynem pouczać tych, którzy są i będą w zakonie, by nie mogli się wytłumaczyć nieświadomością przed Bogiem. Dlatego to, przebywając w domu twoim, zwierzchniku nasz apostoliczny, pośród dostojników, bogaczy i mężów Kościoła nie powstydzilem się zebrać, ale przeciwnie, uczynilem to, by złożyć hołd Mistrzowi, który zgodził się zostać sługą nas wszystkich. Chcę, by obecni i przyszli uczniowie moi wiedzieli, że najchętniej zasiadam przy ubogim ich stole, mając przed sobą resztki jadła, wyzebrane w imię boże, że wolę to nawet, niżli wykwinąć biesiadę u ciebie, panie, w towarzystwie wielkich ludzi. Chleb żebraczy uświęcony jest przez miłość bożą.

Słowa te i inne jeszcze zbudowały wielce kardynała, tak, że powiedział Franciszkowi:

— Synu mój, czyń, co ci się dobrem wydaje, Bóg jest bowiem z tobą, a ty z Bogiem.

Taką była wola Franciszka, że, im wyższego rodu był brat przyjmowany do zakonu, im wyższe zajmował dawniej stanowisko w świecie, tembardziej cieszył się i budował, każąc mu pełnić roboty ciężkie, braci obowiązujące.

Zabraniał też surowo kosztować tego zatrutego miodu, jakim jest obcowanie z kobietami, które nawet świętych nieraz przywodziły do upadku. Bał się tego dla słabych, ulegających rychło, i dla silnych, których męstwo osłabnąć mogło.

— Równie jest trudno — mawiał — nawet człowiekowi doświadczonemu uniknąć tej zarazy, jak chodzić po ogniu, nie parząc stóp swoich.

I w tem również świecił przykładem własnym. Niecierpiał kobiet, tak, że były mu wprost powodem strachu i obrzydzenia. Drażniła go ich natrętna gadatliwość. Jeśli już musiał rozmawiać z którąś, to przemawiał głucho, w krótkich słowach, z roztargnieniem i w sposób nakazujący milczenie. Czasem wznosił oczy w niebo, jakby pytając, co ma odrzec na ów pobrzęk baków tego świata. Nawet te kobiety, których dusze napęlił świętobliwością i uczynił przybytkami mądrości bożej, zaszczycał jeno krótkimi, choć przedziwnymi przemowami. Mówił do takich kobiet nader głośno, niemal krzykliwie, by wszyscy słyszeli

każde słowo. Rzekł raz towarzyszowi swemu, Tomaszowi de Celano:

— Przyznam ci się, mój drogi, że dwie tylko kobiety rozpoznałbym w świecie, albowiem patrzyłem im w twarz. Na inne nie zwracałem nigdy uwagi.

— To bardzo dobrze, ojcie — odrzekł mu Tomasz de Celano — bo widok ich nie uświęca nikogo, niema w nich nic jasnego, nic, coby wynagradzało czas stracony. Stanowią one jeno przeszkodę temu, kto chce po stromej ścieżce skalnej piąć się na wyżynę łaski.

Z wszystkich cnót, które pragnął najgoręcej widzieć w braciach swoich i które poza pokorą kochał najbardziej, była czystość, piękna i pełna uroku. Chcąc nauczyć braci pokory w spojrzeniach, przytaczał nieraz taką opowieść:

— Pewien król posłał do pewnej królowny dwu zaufanych, jednego po drugim. Pierwszy wrócił i powtórzył słowo w słowo cały tok rozmowy. Był to mędrzec, którego oczy nie zbłądziły nigdzie. Drugi zdał pokrótce raport, potem zaś jął się rozwódzić szeroko nad pięknnością królowny i zakończył słowami: — Zaprawdę, widziałem najpiękniejszą kobietę świata! Szczęśliwy ten, kto ją posiedzie! — Ale król zawołał: — Zły sługo! Jakże śmiałeś pod-

nieść bezwstydną oczy na narzeczoną moją? Chciałeś sobie, widzę, sprawić rozkosz karygodną! — Potem przywołał pierwszego i spytał: — Co sądzisz o przyszłej królowej? — Jak najlepsze mam o niej wyobrażenie, — odrzekł zapytany — albowiem dobrotliwie i z cierpliwością wysłuchiwała mnie do końca! — Była to odpowiedź mądra. — A czy nie jest ona przypadkiem piękną? — spytał ponownie król. — O panie mój, — odrzekł posłaniec — twoja to sprawa wyłącznie patrzeć, ja miałem za obowiązek jeno przynieść ci jej słowa. Wówczas król ogłosił wyrok: — Ty, który masz oczy skromne, zostaniesz ze mną, wzrastając w skromność i korzystając z łask moich! Ty zaś, bezwstydniku, masz iść precz, byś snadź nie pokalał małżeńskiego łoża pana twego!

Na końcu dodawał jeszcze Franciszek:

— Jakże nie bać się ma brat zakonny pokusy spojżenia na oblubienicę Chrystusa?

Pewnego dnia, idąc do Berano, nie mógł osłabiony postami Franciszek dotrzeć aż do zamku. Towarzysz jego posłał do pewnej pobożnej damy, prosząc kornie o chleb i wino dla świętobliwego męża. Pobożna niewiasta i oddana Bogu córka jej, dziewica, przybiegły copędzej, niosąc posiłek. Pokrzepiwszy się, dał im wzajem piękną naukę, ale przez cały ciąg przemowy nie spojrzął ni razu

na matkę i córkę. Gdy odeszły, spytał go towarzysz:

— Czemuż to, ojcze, nie raczyłeś spojrzeć nawet na ową dziewicę, tak nabożnie spieszącą do ciebie?

— Jakże niema bać się brat zakonny spojżenia na narzeczoną Chrystusa Pana? — odparł Franciszek. — Ona mogła mnie widzieć, ja jednak nie potrzebowałem patrzeć, mówiąc.

Wracał ciągle do tego przedmiotu, podkreślając, że próżną jest wszelka rozmowa z kobietą, o ile nie idzie o spowiedź, czy krótkie pouczenie — i dodawał:

— Cóż ma do gadania z kobietą Brat Mniejszy, o ile nie przychodzi ona z nabożną prośbą o pokutę, lub po radę w celu udoskonalenia życia?

W miarę, jak Franciszek wzrastał w cnotach, zaostrzał się jego zatarg z wężem Starego Testamentu, a im oczywistszą była świętość jego, tem większe musiał zwalczać podstępne pokusy i staczać coraz to częstsze walki. Nieprzyjaciół czuł dobrze siłę przeciwnika, który nie został zwyciężony ni razu, mimoto jednak nie dawał pokoju zwycięzcy. Żył teraz wśród ustawicznych pokus, trapiiony udręką wielką, której nie łagodziły umartwienia ciała, tak, że nieraz płakał gorzko. Trwało to przez lat kilka, aż dnia jednego, podczas modłów w ko-

ściele Najśw. P. M. w Porcjunkuli usłyszał głos, mówiący mu:

— Franciszku, jeśliś miał wiarę jako ziarnko gorzycy, a rzekł tej górze: — Przenieś się na inne miejsce! — uczyniłaby to!

Święty odparł:

— Cóż to za góra, o Panie?

— To góra pokus!

Zalawszy się łzami, rzekł Franciszek:

— Niechże tak będzie, jakoś powiedział, o Panie!

Znikły natychmiast wszelkie pokusy i, wolen troski, czuł już odtąd zupełny pokój w duszy.

XIV.

ŚWIĘTY FRANCISZEK, PRZYJACIEL ZWIERZĄT.



czasie onym, kiedy czcigodny Franciszek kazał ptakom, chodząc po miastach i zamkach, zatrzymał się raz pewnego w mieście Askali. Głosił tu obyczajem swoim słowo boże z takim zapalem, że owładnięta za-

chwytem ludność zbiegła się doń, aż ścisk powstał niezmierny. Miał on podówczas dopiero trzydziestu uczniów z pośród duchownych i świeckich ludzi, którzy przywdziali zakonne szaty. Kobiety i mężczyźni tak go uwielbiali i czcili, że czuli się szczęśliwymi, mogąc bodaj dotknąć szaty jego. Gdy wchodził do któregoś z miast, czy jakiejś wioski, kapłani radowali się, kazali bić we dzwony, ludność popadała w zachwyt, a dzieci klaskały w ręce, wybiegały naprzeciw z gałęziami drzew i tańczyły

przed świętym mężem. Usunął on zgorszenie przez odszczepieńców zasiane, podniósł z ruin dużo kościołów i sprawił, że heretycy uciekali i kryli się, wierni zaś tryumfowali. Tylu lśnił znakami świętości, że nikt protestować nie śmiał przeciw tym tłumnym przejawom uwielbienia. Podawano mu chleb, by go błogosławił, a potem leczono się nim z różnych chorób. Nieraz nawet rozszarpywano mu habit, tak, że niemal zostawał nago, a co więcej, starczyło dotknięcia jakiegoś przedmiotu, by przedmiot ten uzdrawiał ludzi.

W pewnej wsi pod Arezzo kobieta leżała od kilku dni w połogu, rodząc wśród takich bólów, że była już napół martwa. Krewniacy jej wydzielili się, że ma przechodzić tędy św. Franciszek, zmierzając do którejś z pustelni, i, ustawivszy nosze z chorą przy drodze, czekali nań. Ale zdarzyło się, że znużony podróżą Franciszek obrał kierunek inny, jadąc konno. Dotarwszy do pustelni, kazał jednemu z braci, Piotrowi, odprowadzić konia temu, kto mu go z miłosierdzia użyczył. Brat Piotr wracał tedy konno i to właśnie drogą, przy której czekano z chorą. Przybiegli doń pospiesznie krewniacy położnicy, ale zasmucili się wielce, nie znajdując świętego męża. Jęli tedy dumać, czyby nie można znaleźć czegoś, czego się dotykał. Po namyśle zdjęli z głowy konia uździenicę i położyli

wodze, trzymane przezeń w rękach na chorej. W tejże chwili porodziła ona z wielką radością i zachowując pełne zdrowie.

Mieszkaniec Citta della Pieve, Gioffredo, człowiek bogobojny i mający również nabożną rodzinę, przechowywał sznur, którym się kilka razy opasywał święty Franciszek. Razu pewnego nawiedziła tę okolicę febra i inne choroby, a wielu zachorowało. Gioffredo chodził od domu do domu i maczał sznur we wodzie, albo rzucał w nią po strzępku, a chorzy, napiwszy się tej wody w imię Chrystusa Pana, wracali do zdrowia.

Wszystkie te cuda i dużo innych, których wyliczyć nie sposób, działy się pod nieobecność świętego. Z pośród tych zaś, które Bóg Najwyższy ziścił bezpośrednio przezeń, wspomnieć tu możemy o kilku jeno.

Jeden z braci zapadł na dziwną, a straszną dla patrzących nań oczu chorobę, niemożliwą do określenia, która przypominała wielce opętanie przez demona. Padał na ziemię i, miotając z ust pianę, wił się, przewracając oczy i straszne robiąc grymasy. Członki jego ciała kurczyły się chwilami, to znów sztywniały, jak martwe. Czasami podnosił nogi ponad głowę i opuszczał je z powrotem. Zdjęty politowaniem, jął się Franciszek modlić, potem zaś, uczynivszy znak krzyża, pobłogosławił cho-

rego. Natychmiast ustąpiło wszystko, a brat ów zrzadka już tylko i lżej zapadał potem na zdrowiu.

Pewnego razu, wędrując po biskupstwie Norni, zaszedł św. Franciszek do cytadeli San Gamino, gdzie głosił słowo boże, potem zaś przyjął gościnę u pewnego bogobojnego człowieka, którego żona, jak wszyscy wiedzieli, była opętana przez diabła. Mąż ją tedy prosić za żonę, wiedząc, że święty mąż może ją uleczyć przez zasługi swoje. Ale Franciszek wzbraniał się w prostocie swojej, bo wolał znosić wzgardę, niż być sławionym przez świat z powodu widomych znaków świętości swojej. Ponieważ szło tu jednak o Boga i wszyscy zasypywali go prośbami, przystał wkońcu. Przywołał trzech towarzyszących mu braci, zaprowadził każdego w inny kąt pokoju i powiedział im:

— Pilnujmyż dobrze każdego kąta tej komnaty, by diabeł nie uciekł którydyś, i módlmy się gorąco o zdrowie opętanej. — Skończywszy modły, poszedł św. Franciszek do chorej i rzekł uroczyście: — W imieniu Pana naszego Jezusa Chrystusa i w imię posłuszeństwa jemu rozkazuję ci, demonie, byś wyszedł z tej kobiety i nie wrócił już nigdy! — Ledwo wyrzekł te słowa, diabeł wyleciał z chorej z taką gwałtownością i zgrzytem, że sam święty sądził przez chwilę, iż ulega złudzeniu. Wyszedł potem spiesźnie, zarumieniony, nie chciał bowiem

za natchnieniem Opatrzności korzystać z tak znikomej sławy. Zdarzyło się, że niedługo potem przechodził przez tę samą miejscowość w towarzystwie brata Eljasza. Uzdrawiona przezeń kobieta wybiegła i jęła błagać o chwilę rozmowy. Nie zważał, mimo, że wiedział, iż z niej to właśnie wypędził za łaską bożą demona. Kobieta wlokła się za nim, całując ślady stóp jego, błogosławiąc Boga i służę Pańskiego, Franciszka. Po długich dopiero prośbach brata Eljasza przemówił do niej słów parę, w obecności tłumu ludzi, którzy zaświadczyli, że została przezeń uleczone.

Pewnego dnia poszedł Franciszek do San-Pietro de Bevara, w pobliżu fortu Trevi w dolinie Spoletu, zabierając ze sobą brata Pacyfika. Kościół ten był opuszczony. Rzekł Franciszek Pacyfikowi:

— Wracaj do szpitala trędowatych! Zostanę tutaj sam przez noc, a wczesnym rankiem przyjdiesz po mnie.

Zostawszy sam, odmówił godzinki i inne modlitwy, potem zaś chciał zasnąć dla wypoczynku, ale nie mógł zamknąć oczu. Jął się nagle bać napaści djabelskiej, wyszedł przeto z kościoła i zawołał, czyniąc znak krzyża:

— Powiadam ci, demonie, imieniem Boga Wszechmogącego! Czyń, co chcesz z ciałem mojem, wszystko, na co ci zezwoli Chrystus Pan, a gotów

jestem znieść największe udręki. Ciało moje jest to najgorszy wróg, przeto pomścij się na niem za mnie!

Brat Pacyfik zastał rano Franciszka na modlitwie przed ołtarzem. Cekał przeto pod chórem, modląc się także przed krucyfiksem. Ledwo zaczął modły, uczuł, że jest uniesiony w niebo (z ciałem, czy bez ciała, nie wiedział, a było to jeno Bogu wiadome) i ujrzał wielką ilość tronów. Jeden z nich, wyższy nad inne, okryty był klejnотami. Podziwiał ten tron i pytał samego siebie, dla kogoby był przeznaczony. Gdy tak dumał, usłyszał głos: — Tron ten był ongiś tronem Lucypera, teraz atoli zajmie go pokorny Franciszek!

Przyszedł do siebie w chwili, kiedy sługa boży wychodził z kościoła. Brat Pacyfik padł mu do stóp, rozkrzyżował ramiona i rzekł, patrząc nań, jakby go widział już królującego w niebie:

— Ojczy, bądź miłościw mnie grzesznemu i pros Boga, by mi przebaczył grzechy moje!

Podniósł go z ziemi Franciszek i poznał, że musiał mieć jakąś wizję podczas modlitwy, gdyż zmieniony był zupełnie i przemawiał doń nie jak do człowieka, ale jak do mieszkańca niebiosów.

Brat Pacyfik nie chciał jednak mówić o wizji i jął szeptać do siebie cicho, mówiąc pomiędzy innemi te słowa:

— Co myślisz o nim, bracie?

Ale Franciszek usłyszał go i rzekł:

— O mnie? Sądzę, że jestem największym z grzeszników świata.

I nagle głos niebiański rzekł w duszy Pacyfika:

— Oto ze słów tych widzisz, że prawdą było widzenie twoje. Podobnie, jak Lucyper utracił tron swój przez pychę, Franciszek godzi się zająć go z powodu pokory swojej.

Franciszek, ojciec biedaków, cierpiał, widząc kogoś, biedniejszego od siebie. Mimo, że nosił odzież ordynarną i szorstką, radby był podzielić się nią z nędzarzem. Nie mogąc jednak zadość uczynić tej potrzebie serca, prosił wszędzie, gdzie zaszedł do bogatych, zwłaszcza zimową porą, by mu pożyczono to płaszcz, to futro. Dawano mu oczywiście ochotnie, czego chciał, a Franciszek, otrzymawszy odzież, zwykł był mawiać:

— Jestem tak głęboko wdzięczny, że nie spodziwajcie się zwrotu.

Szedł dalej, a spotkawszy człowieka, okrytego lachmanami, ubierał go z radością w otrzymane szaty.

Znieść nie mógł, by gromiono biednego, a także nie cierpiał klątw, skierowanych do kogokolwiek-bądź. Pewnego dnia usłyszał, jak jeden z braci

przemawia ostro do biedaka, proszącego jałmużny, mówiąc mu:

— Ej, ej! Czy tylko nie jesteś przypadkiem bogaty? Może udajesz poprostu nędzarza?

Bolejąc wielce nad temi słowami, zgromił Franciszek, ojciec biednych, owego brata, kazał mu oddać całą odzież, prosić o przebaczenie i ucałować stopy. Mawiał często:

— Ten, kto nęka ostreimi słowy biedaka, krzywdzi Chrystusa, którego widome znaki biedak ma na sobie. Pan nasz uczynił się biednym na świecie.

Ile też razy napotkał biedaka, dźwigającego ciężar lub naręcz drzewa, pomagał mu, biorąc brzemień na plecy, mimo, że sam był słaby wielce.

Miał niezmierną litość nie tylko dla ludzi udręczonych czemś, ale także dla niemych zwierząt różnego rodzaju, dla płazów, ptactwa, słowem dla wszelkich stworzeń żywych, a nawet dla rzeczy martwych. Ponad wszystkie jednak zwierzęta lubił owieczki, albowiem Pismo Święte przyrównuje często Chrystusa do baranka z powodu pokory jego. Z radością wielką wyszukiwał wszelkie porównania alegoryczne, odnoszące się do Syna Bożego.

Podróżując po Marchji Ankońskiej i opowiadając tam słowo boże, szedł raz drogą, do Osimo wiodącą, wraz z bratem Pawłem, który był prze-

łożonym wszystkich braci tej prowincji. Napotkał pasterza z trzodą owiec, a pośród nich ujrzał małe jagnię, nader skromnie chrupiące trawę. Przystanął, westchnął boleśnie i rzekł towarzyszowi:

— Patrz na to jagnię pośród owiec i capów! Tak, oto, powiadam ci, chodził Pan nasz, Jezus Chrystus, pośród faryzeuszów i książąt kapłańskich. Proszę cię tedy, miej litość nad tem jagnięciem! Musimy je też wykupić z pośród tej trzody.

Wzruszyło Pawła to miłosierdzie, ponieważ atoli nie posiadali nic, prócz nędznej odzieży, stali, nie wiedząc co czynić. Zjawił się atoli zaraz jakiś kupiec i dał im sumę, żadaną przez pasterza. Zabrali tedy jagnię do Osimo i stanęli gościnią u biskupa, który ich przyjął wielce serdecznie. Zdziwił się monsignore, widząc, z jaką czułością pielęgnuje święty mąż jagnię, gdy mu jednak Franciszek przypomniał parabolę ewangeliczną, wzruszył się czystością serca jego. Wychodząc nazajutrz z miasta, dumiał sługa boży, co ma począć z jagnięciem, potem zaś za radą towarzysza oddał je na wychowanie do klasztoru służebnic Chrystusowych w San Severino. Zakonnice przyjęły z radością ten dar boży, miały staranie o jagnięciu, potem zaś utkały z wełny jego szatę zakonną i posłały św. Franciszkowi do Porcjunkuli, gdzie się właśnie odbywała kapituła zakonu. Święty mąż przyjął ten

dar radosnem sercem, ucałował, przywdział i prosił wszystkich, by się cieszyli wraz z nim.

Innym razem, wędrując po Marchji z tymże samym bratem, napotkał człowieka, który niósł na ramionach dwa baranki, związane sznurem. Połyszczawszy ich żałośnie beczenie, uczuł litość, pogłaskał zwierzątka z czułością macierzyńską i spytał owego człowieka:

— Czemuż to niesiesz te dwa baranki, tak okrutnie związane powrozem?

— Niosę je na targ, gdyż potrzebuję pieniędzy.

— A cóż się stanie z nimi, gdy je sprzedasz?

— Zostaną zarżnięte i zjedzone.

— O, nie! — zawołał święty — Nie stanie się tak! Weź ten oto płaszcz wzamian za te baranki!

Człowiek ten oddał Franciszkowi ochotnie baranki, albowiem płaszcz był wart znacznie więcej. Święty mąż dostał go tegoż dnia dopiero od jednego z wiernych dla ochrony przed chłodem. Kupiwszy baranki, zadał sobie Franciszek pytanie, co z nimi pocnie. Wkońcu, powolny radzie towarzysza, oddał je z powrotem owemu człowiekowi, przykazując, by ich nie sprzedawał, nie czynił im krzywdy i żywił należycie.

Głównym celem Franciszka było zawsze przestrzeganie św. Ewangelji, naśladowanie nauk Chrystusa Pana i wstępowanie w ślady jego. Me-

dytował nieraz długo nad każdym słowem i przypominał sobie każdy czyn Zbawiciela. Podziw dla ubożuchnego Narodzenia i współczucie dla okrutnej, a tak cierpliwie znoszonej Męki zajmowały go tak, że nie mógł już o czem innem myśleć.

Wspomnieć należy, że działo się to trzy lata przed chwalebną śmiercią jego, w pobliżu warowni Greccio. Żył tam pewien człowiek dobrej sławy i obyczajów, imieniem Jan, a Franciszek kochał go tembardziej jeszcze, że, będąc szlachcicem, szanowanym w okolicy, gardził prochem ziemskim, żadnym będąc jeno szlachectwa duszy. Dwa tygodnie przed świętem Bożego Narodzenia zawezwał go Franciszek, jak to miał w zwyczaju, i rzekł mu:

— Jeśli chcesz, byśmy obchodzili święta w Greccio, zajmij się coprędzej przygotowaniami. Chcę przypomnieć, jak to Jezusek narodził się w Betlejemie, pośród niedostatku, ile cierpiał, jak został złożony w żłobie, pomiędzy wołem, a osłem, i jak patrzył na to wszystko ziemskimi oczyma swemi.

Wierny Jan pobięł wykonać to, co mu przykazał święty mąż.

Nadszedł dzień radosny, z całej okolicy zeszli się bracia, ludzie świeccy płci obojga, zabierając z domów, co mogli, dla uświetnienia tego wieczoru, a także niosąc świece i pochodnie dla rozświetlenia

nocy, która ongiś połyskiwała od blasku gwiazdy cudownej. Jedni dźwigali żłóbek, inni nieśli siano, wiedli wołu i osła, tak, że Greccio czciło w prostocie ducha ubóstwo i pokorę, przypominając żywo Betlejem. Noc była cicha, pogodna i miła dla ludzi i zwierząt. Płynęły tłumy, rozkoszując się tą wizją dalekiej, świętej przeszłości, las i skały niosły echa wesółych okrzyków, a bracia śpiewali chórem hymny ku czci Boga. Noc rozbrzmiewała radością.

Święty mąż stał przed żłóbkiem, wzdychając, kając się i weseląc niewysłowioną radością. Ponad żłóbkiem odprawiono mszę świętą, a celebrant doznawał niezwykłych pociech duchowych.

Franciszek, będący lewitą, przywdział szaty kościelne i głosem dźwięcznym zaintonował Ewangelię świętą. Głos ten słodki, silny, jasny głosił wiekuiste nagrody. Potem jał święty mąż kazać do rzeszy mnogiej, opowiadając miodopłynnio o narodzeniu w ubóstwie Pana światów. Gdy wymawiał słowo „Betlejem“, głos jego przypominał łagodne beczenia jagnięcia, słodsze jeszcze w ludzkich ustach. Wymawiając imię Chrystusa, czuł na wargach rozkoszny niejako smak duchowy tego wyrazu.

Dobrodziejstwa boże spłynęły wrychle na całe Greccio. Pewien cnotliwy człowiek miał widzenie: martwe dzieciątko leżało w żłobie, Franciszek zaś

przywrócił je do życia. Była to, zaprawdę, wizja zgodna z rzeczywistością, w sercach bowiem ludzi leżało dzieciątko Jezus zapomniane i martwe, a święty mąż przypominał je wiernym i wskrzesił z martwych. Po uroczystości rozeszli się wszyscy, a siano żłóbka przechowywano długo, lecząc niem chore zwierzęta. Siano to rozmnażał Bóg z wielkiego miłosierdzia swego. Mnóstwo zwierząt domowych w całej okolicy odzyskało zdrowie, zjadłszy pęczek tego siana, a kobiety rodzące powijały szybko i szczęśliwie dzieci, gdy im położono na ciało to siano. W miejscu żłóbka wzniesiono potem kościół, poświęcony czci świętego Franciszka.

Żył podówczas w okolicach Gubbio wilk ogromny i żarłoczny wielce. Pożerał ludzi na równi ze zwierzętami. Mieszkańców ogarnął wkońcu taki strach, że, wychodząc z domu, zbroili się, jak na wojnę. Nie wiele to jednak pomagało i każdy, kto spotkał potwora, ginął niechybnie. Toteż bano się wychodzić za próg.

Bóg chciał atoli objawić świętość Franciszka i, zdjęty litością, kazał mu wyjść przeciw wilkowi. Ostrzegali go wszyscy, mówiąc:

— Strzeż się, ojczyźnie świętobliwy! Nie wychodź, wilk ten bowiem, który pożarł tyłu, rozszarpie i ciebie.

Ufając w moc bożą i w Jezusa Chrystusa, władce dusz wszystkich istot, bez względu na ich postać, wraz jednym towarzyszem ruszył mężnie naprzeciw wilka, bez broni, jeno z krzyżem w ręce. Wszyscy mieszkańcy miasta wyszli na mury i wieże, chcąc widzieć co się stanie. Niebawem też wypadł potwór i rzucił się na świętego męża i towarzysza jego. Atoli Franciszek pokazał wilkowi krzyż i bestja, powstrzymana boską siłą, przystanęła w miejscu, zamykając krwiożerczą paszczę. Wówczas rzekł mu święty:

— Chodźno do mnie, bracie wilku! Wiedz jednak, że ci zabraniam imieniem Chrystusa Pana wszelakiej napaści na mnie, jakoteż na innych.

Na ten rozkaz, zmieniony już w jagnię, rzucił się wilk do stóp Franciszka, a on mówił mu dalej:

— Bracie wilku, popełniłeś dużo zbrodni w tej okolicy, wymordowałeś mnóstwo tworów bożych i to nie tylko zwierząt, ale także i ludzi, stworzonych na obraz i podobieństwo samego Pana nad pany. Zasługujesz tedy na karę śmierci w mękach, jako rozbójnik najgorszy, a wszyscy domagają się tego. Atoli, bracie wilku, chcę uczynić pokój pomiędzy nimi i tobą. Zaprzestaniesz odtąd napaść mieszkańców i zwierzęta ich, oni zaś przebaczą ci twe zbrodnie i nie będą dybać na twe życie, ani też psom nie pozwolą cię ścigać.

Wilk jął poruszać całym ciałem, głową, uszami i ogonem, na znak, że godzi się na propozycję świętego, który dodał jeszcze:

— Bracie wilku, pokój tedy zawarty, a teraz powiadam ci, że będziesz odtąd dostawał codziennie żywność od mieszkańców tego miasta.

Wilk kiwnął głową, na znak, że przyrzeka dotrzymać warunków, postawionych przez świętego.

— Bracie wilku, — rzekł mu jeszcze — chcę, byś mi dał znak widomy, iż mogę ufać obietnicy twojej.

Wyciągnął dłoń Franciszek, by przyjąć ślubowanie, zaś wilk podniósł prawą łapę i złożył ją delikatnie na ręce świętego, dając znak wiary, jaki dać był w stanie.

Wkońcu rzekł Franciszek:

— Bracie wilku! Rozkazuję ci imieniem Pana naszego Jezusa Chrystusa, chodź ze mną zaraz do miasta bez obawy, by tam zatwierdzić naszą ugodę.

Wilk usłuchał natychmiast i poszedł ze świętym, jak najłagodniejsze jagnię. Widząc to, popadli mieszkańcy w zdumienie niezmiernie. Zbiegli się co do jednego na wieść o cudzie, wszyscy, wielcy i mali, mężczyźni i kobiety na terasę, gdzie stał Franciszek z wilkiem. Święty mąż wygłosił do nich przedziwne kazanie, wykazując, że plaga ta była

karą bożą za grzechy mieszkańców, potem zaś dodał:

— Słuchajcież, bracia! Ten oto brat-wilk zawarł przezemnie pokój z wami, ja zaś ręczę, że do trzymam przyrzeczenia wiernie.

Tłum wydał okrzyk, ślubując żywić wilka po wszystkie czasy, a Franciszek rzekł mu:

— A ty, bracie wilku, czy ślubujesz przestrzegać tej umowy, to znaczy nie krzywdzić zwierząt ni ludzi?

Wilk ukląkł, pochylił głowę i przyjacielskimi ruchami całego ciała, ogona i uszu wyraził zgodę, potem zaś, podniósłszy łapę, złożył ją na znak przysięgi w dłoni ręcyciela swego.

Przez całe dwa lata żył ten wilk w mieście. Chodził od domu do domu, nie napastując nikogo. Nikt go też nie tknął, natomiast znoszono mu co najlepsze kąski, tak, że żył po królewsku. I dziwna rzecz! Żaden pies nie warknął nań ni razu. Gdy potem zmarł ze starości, żalowali go wszyscy bardzo.

XV.

PUSTELNIA NA MONTE ALVERNO.



oniesiono Franciszkowi, że bracia jego, wysłani dla nauczania, osiedlili się na górze Alverno, darowanej zakonowi przez hrabiego Orlanda. Była to miejscowość, sprzyjająca bardzo modłom i kontemplacji, to też mąż świętobliwy

uradował się wielce. Zwrócony do braci, powiedział:

— Dzieci moje, nadchodzi czas postu ku czci Michała Archaniola. Wydaje mi się, że Bóg chce, byśmy post ten odprawili na Alverno.

Rzekłszy to, zabrał ze sobą Franciszek brata Masseo di Marignano z Asyżu, człowieka wielkiego rozumu i wymowy, brata Aniola Tankreda z Rieti, szlachetnego wielce męża, który był dawniej rycerzem, oraz brata Leona, ogromnej czystości i prostoty ducha, z powodu czego mąż świętobliwy ko-

chał go wielce. Odprawivszy z tymi trzema braćmi modły i poleciwszy się modłom zostających, wyruszył Franciszek w drogę z imieniem Ukrzyżowanego na ustach.

Gdy jeno wyszli, powiedział Franciszek do Massea:

— Ty, bracie, będziesz naszym opiekunem i wiodzem w ciągu tej podróży. Podczas marszu przestrzegać będziemy tej zasady, by odmawiać modlitwy, nie myśląc o jedzeniu, piciu, czy noclegu. Potem, gdy nadejdzie czas spoczynku, uzbierzemy trochę chleba i zanocujemy, gdzie nam Bóg przeznaczy.

Sklonili się bracia i, uczynivszy znak krzyża, ruszyli przed się. Pierwszego wieczora spędzili noc w osiedlu braci, drugiego atoli dnia skutkiem niepogody i zmęczenia nie mogli dotrzeć do klasztoru, zamku, ani nawet wsi żadnej. Późnym wieczorem spadł deszcz, tak, że musieli szukać schronu w opuszczonym kościele, gdzie legli spoczywać.

Bracia zasnęli rychło, a Franciszek padł na ziemię i jał się modlić. Ale oto o pierwszej zaraz godzinie w nocy zjawilo się mnóstwo dzikich demonów. Wpadły z hałasem ogromnym i rzuciły się na świętego męża. Jeden czart ciągnął go na dół, drugi w górę, inni grozili mu i miotali klątwy, słowem wysilali się na różne sposoby przeszkadzania mu w modłach, ale niczego nie dokonali, albowiem Bóg był z nim. Znosił długo te djabelskie napaści, potem zaś jał wołać głośno:

— Duchy potępieńcze! Na nic wszystko, o ile Bóg wam nie zezwoli napaść mnie. To też powiadam wam imieniem Boga: uczynicie, co chcecie z ciałem mojem, oddaję wam je chętnie, bowiem nie mam większego wroga i, mszcząc się na ciele mojem, oddacie mi wielką przysługę!

Na te słowa chwyciły go demony, bijąc, przewracając, włócząc po kościele i zadając coraz to większe katusze.

Wkońcu jał wołać święty:

— O panie mój, Jezu Chryste, składam ci dzięki za tę obfitość łask twoich. Wielki to zaszczyt, gdy Pan karze sługę swego surowo za grzechy w tem życiu, by nie był już karany w życiu przyszlēm. Gotów jestem wycierpieć z radością wszystkie męki i przeciwności, jakie ci się spodoba spuścić na mnie.

Pokonane tą stałością i cierpliwością, rozproszyły się wkońcu demony, rozplomieniony zaś na duchu Franciszek wyszedł z kościoła, udał się do pobliskiego lasku, padł tam na kolana, jał szukać z biciem serca i płaczem Jezusa Chrystusa ukochanego i przyobiecanego w niebie, i znalazł go w głębi duszy własnej. Wtenczas jał doń przemawiać, jak do Pana swego, odpowiadał mu, jak oskarżony se-

dziemu, błagał go, jak ojca, a wkońcu dysputował z nim, jak z przyjacielem.

Zbudzeni hałasem bracia widzieli wszystko, poszli za Franciszkiem do lasu i słyszeli, jak wołał, wzywał Opatrzności boskiej na ratunek grzeszników i płakał nad męką Chrystusową, jakby na nią patrzył w tej chwili. Widzieli też, jak leżał długo krzyżem, jak się unosił ponad ziemię, otoczony lśniącym obłokiem — i na tem zeszła noc cała.

Rano spostrzegli bracia, że mąż świętobliwy nie ma sił do dalszej drogi, poszli tedy prosić biednego rolnika, by pożyczył osła dla ojca ich, który iść nie może pieszo. Słyszac imię brata Franciszka, spytał wieśniak:

— Czy jesteście zakonnikami tego mnicha z Asyżu, o którym głoszą tyle dobrego?

Bracia oświadczyli, że tak jest i że dlań potrzebują osła. Wieśniak spiesźnie spełnił prośbę braci, osiodłał osła, przywiódł go świętemu, z pełnym szacunkiem pomógł mu wziąć, a potem towarzyszył im, idąc za osłem. Ujechali spory kawał, aż nagle spytał wieśniak świętobliwego męża:

— Żali jesteś naprawdę Franciszkiem z Asyżu?

— Jestem nim! — odparł.

— W takim razie staraj się być tak dobrym, jak ludzie głoszą! — rzekł znowu wieśniak. — Zaprawdę, wszyscy w ciebie wierzą, to też radzę ci,

byś nie okazał się gorszym, niżli się spodziewają ludzie.

Na te słowa nie uczuł Franciszek wstydu, iż mu prostak rady udziela. Nie rzekł sobie, jak wielu, noszących dziś biret, że głupcem jest człowiek, pouczający go w ten sposób. Przeciwnie, zeskoczył z osła, ukląkł kornie przed wieśniakiem, ucałował mu stopy i podziękował za przestrożę, udzieloną tak miłosiernie.

Prostak i bracia podnieśli z nabożeństwem męża świętobliwego i, wsadziwszy na osła, ruszyli dalej. Gdy odbyli pół drogi, nastał wielki upał, a ścieżka, wiodąca pod górę, wielce była stroma i męcząca. Wieśniak uczuł wielkie pragnienie i jął wołać:

— Hola! Hola! Pić mi się chce strasznie i, jeśli nie znajdzie wody, umrę napewne!

Słyszac to, zsiadł Franciszek z osła i, padłszy na kolana, jął się modlić żarliwie z rękami ku niebu wzniesionymi, aż mu Bóg objawił, że prośba jego została wysłuchaną. Rzekł wówczas prostakowi:

— Idź prędko do tamtego oto kamienia, a znajdziesz płynącą wodę, którą dobyło z ziemi miłosierdzie Jezusa Chrystusa.

Wieśniak pobiegł w miejsce wskazane i, znalazłszy obfite źródło, pokrzepił się i wzmocnił. Woda owa wytrysła jedynie na prośbę Franciszka, gdyż

nigdzie w całej tej okolicy przedtem źródła nie było.

Potem, podziękowawszy Bogu za cud oczywisty, ruszyli wszyscy dalej. Pod samym szczytem Alverna zsiadł Franciszek, by spocząć w cieniu dębu, który tam dotąd jeszcze rośnie. Siedząc, spozierał po widnokręgu, podczas zaś tej jego zadumy zleciało się zewsząd mnóstwo ptaków. Różne miały pióra i kształty, wszystkie zaś świergotały, śpiewały, otwierały dzioby i biły skrzydłami na znak radości i wesela. Obsiadły mu głowę, ramiona, piersi i nogi nawet, a wieśniak i bracia nie mogli wyjść z podziwu. Świętobliwy mąż powiedział im:

— Bracia drodzy, widzę, że podoba się Panu, byśmy zamieszkali na tej samotnej górze, skoro bracia nasi, ptaszkowie, radują się tak bardzo widokiem naszym.

Ruszyli potem wzwyż i dotarli niebawem na szczyt, gdzie było już wielu braci.

Trzeba wiedzieć, że przybycie świętego Franciszka i trzech towarzyszy jego rozradowało wielce messera Orlanda, hrabiego Ciuzy. Nazajutrz przybył w odwiedziny wraz z orszakiem i zapasami żywności. Franciszek poprosił, by mu kazał wystawić małą chatkę z gałęzi pod pięknym wierzchem, o rzut kamienia odległym od osiedla braci, bo miejsce to wydało mu się wielce sposobne do mo-

dlitwy. Stało się zaraz zadość temu życzeniu, gdy zaś zapadł wieczór, Franciszek przemówił pokrótce do przybyłych, potem zaś pobłogosławił ich na drogę. Odjeżdżając, prosił hrabia Orlando świętego męża, by posyłał do zamku jego po wszystko, czego braciom potrzeba, gdyż inaczej czułby się dotkniętym osobiście. Ledwo jednak odjechał, zebrał Franciszek braci wokół siebie i zabronił im korzystać z hojności messere Orlanda.

— Obrazilibyśmy przez to nasze Święte Ubóstwo, jedyną przystań doskonałości, arkę i zastaw bogactw wiekuistych. Tak żyć musimy wszyscy, ponieważ zaś czuję, że śmierć nadchodzi, chcę być sam, by w skupieniu ducha kajać się grzechów swoich. Brat Leon przyniesie mi czasem, gdy zechce, trochę chleba i wody. Pod żadnym atoli warunkiem nie dopuszczajcie do mnie osoby świeckiej, wszystko załatwiając za mnie.

W kilka dni potem stał Franciszek obok swej chatki i oglądał budowę góry, dziwiąc się rozlicznym pęknięciom i wklęsłościom jej. Podczas modlitwy objawił mu Bóg, że te pęknięcia powstały od Męki Pańskiej, kiedy to, jak powiada Ewangelja święta, pękały kamienie. Wola boża naznaczyła tę oto właśnie górę Alverno, na której miała zostać odnowiona Męka Pana naszego Jezusa Chrystusa w duszy świętego Franciszka, uniesionego miłością

i współczuciem, a ciało jego miało otrzymać prze-
najsświętsze stygmaty ciała boskiego.

Odtąd, modląc się ustawicznie, doznawał Franciszek coraz to częściej zachwyceń, tak że bywał w oczach braci, patrzących zdala, unoszony ponad ziemię. Brat Leon postanowił tedy w prostocie ducha baczyć na to, co czyni święty i czuwać nad nim, i dzięki temu właśnie widział nieraz jak święty wznosi się na kilka stóp nad ziemię, czasem powyż korony wiązu, a czasem tak wysoko, że go trudno było dostrzec.

Gdy święty Pański znajdował się tak nisko nad ziemią, że go można było dosięgnąć, naiwny braciszek całował mu stopy i błagał z płaczem:

— Boże mój, ulituj się nademną i daj mi zbawienie przez zasługi tego świętego.

Pewnego razu stał pod stopami wzniesionego tak bardzo Franciszka, że go dosięgnąć nie mógł, i ujrzał zlatującą z nieba karteczkę. Spadła ona na głowę Franciszka, a było na niej wypisane: — To jest łaska niebiańska! — Gdy zaś skończył czytać, karteczka wróciła do nieba.

Około Wniebowzięcia N. P. Marji umyślił Franciszek znaleźć sobie kryjówkę zaciśniejszą jeszcze, gdzieby mógł odprawić sam jeden post ku czci św. Michała Archaniola. Rzekł tedy bratu Leonowi:

— Stań przy kaplicy braci, a gdy cię zawołam, przyjdź zaraz.

Uczylił tak Leon i, usłyszawszy niebawem wielki krzyk św. Franciszka, przybiegł doń co prędzej.

— Musimy, synu mój, wynaleźć lepsze miejsce, gdzie nie dochodzi wołanie moje.

Znaleźli wkońcu w południowym stoku góry polankę bardzo odpowiednią, ale szeroka rozpadlina utrudniała dostęp. Z trudem udało im się przerzucić przez nią pień drzewa tak, że dosięgli tego miejsca. Potem posłał Franciszek po innych braci, powiedział im, że tu odprawi post św. Michała Archaniola i poprosił, by mu zbudowali szałas z gałęzi tu, gdzie nawet krzycząc głośno nie mógł zostać usłyszany.

Gdy wszystko było gotowe, rzekł im:

— Wróćcie teraz i zostawcie mnie samego. Odprawię tu z pomocą bożą post bez przeszkody i roztargnienia. Nie odwiedzajcie mnie i nie dopuście nikogo z ludzi świeckich. Ty, Leonie, przyjdiesz raz w dzień, a raz nad ranem z chlebem i wodą. Ale zachowaj milczenie. Stojąc po tamtej stronie naszego mostu, powiedz: Domine, labia mea aperies. Jeśli odpowiem, wejdiesz do chaty mojej, jeśli zaś nie, masz wracać natychmiast.

Przykazał to, albowiem często, będąc w zachwyceniu, nie słyszał nic i nie odczuwał niczego zmysłami ciała. Potem pobłogosławił braci, a oni odeszli.

Na nowem miejscu zatopił się mąż świętobliwy w modły, przysposabiając duszę swą na przyjęcie świętych znaków Chrystusowych. Jednocześnie rozpoczął nowe walki z demonami. Pewnego dnia zaszedł do groty, niedaleko chaty swojej. Grota była szczeliną skalną, powstałą przez pęknięcie, a na dole zionęła straszliwa przepaść. Demon wpadł z wściekłością, porwał Franciszka i chciał go zepchnąć w przepaść, a mąż święty, nie mając gdzie uciekać, przylgnął ciałem do ściany groty. Nie mając się czego uczepić, byłby spadł niechybnie, ale skała stopniała cudem, niby воск i przyjęła w siebie ciało, tak że zostało na niej potem wyraźne odbicie.

Przez ciąg długiego postu walczył Franciszek często z demonami, ale zaznawał także pociech niebiańskich, przez odwiedziny aniołów, lub także dzikiego ptactwa. Gnieźdzący się opodal sokół budził go każdego świtu, kwiląc i bijąc skrzydłami, jakby mu chciał przypomnieć, że czas na modlitwę poranną. Gdy święty bywał czasem osłabiony i chory, sokół ten budził go później trochę, jakby był istotą pełną współczucia i wyrozumiałości.

Franciszek polubił ten zegar żywy, gdyż rzeźwił go z rozleniwienia i pobudzał do modłów. W ciągu dnia przemawiał też poufale do ptaka.

Ostre posty i walki z demonami wyczerpały jednak wkońcu do tego stopnia siły świętego, że zapragnął posilić ciało pożywieniem ducha, a myśląc o rozkoszach wybrańców nieba, jał prosić, by mu danem było zakosztować ich już na tej ziemi. Nim skończył myśleć o tem, zjawił mu się anioł wielkiej jasności ze skrzypkami i smyczkiem w rękach. Patrzył zdumiony, a anioł zagrał tak prze cudnie, że duszę Franciszka ukołła rozkosz niebiańska i znikły z niej wszelkie pokusy tej ziemi. Jak to mówił potem towarzyszom, czuł, że gdyby anioł grał dłużej, niemożliwa do zniesienia rozkosz ta byłaby oderwała duszę jego od ciała.

Zbliżał się dzień Świętego Krzyża, przypadający we wrześniu. O świcie przybył, jak zawsze, brat Leon stanął u końca mostu i rzekł: — Otwórz, panie, usta swoje! — a nie otrzymawszy odpowiedzi, miał wedle rozkazu zawrócić, lecz uniesiony dobrocią i zbożnym zamiarem, wszedł do chatki. Nie zastawszy Franciszka, pomyślał, że jest gdzieś blisko w lesie, jał go przeto szukać przy świetle zachodzącego właśnie księżyca. Po chwili usłyszał głos jego i ujrzał, jak kłęczy w zachwyceniu z rękami wzniesionymi, powtarzając te słowa:

— Kimże jesteś, o słodki Boże mój? Kimże jestem ja, najmarniejszy robak ziemi i sługa twój niegodny?

Te jeno powtarzał słowa. Po chwili zobaczył brat Leon przepiękny płomień zstępujący z nieba na głowę Franciszka. Słyszał też głos, ale słów nie mógł rozróżnić. Czując się niegodnym i nie chcąc przeszkadzać, odstał wstecz i czekał końca. Franciszek uniósł trzykrotnie ramię, a płomień wrócił do nieba. Zachwycony tem widzeniem, zawrócił do siebie, ale Franciszek usłyszał szelest stóp jego po zeschłych liściach i kazał mu zaczekać.

Uśluchał, przerażony wielce, gdyż, jak mówił potem, pragnął z obawy gniewu świętego męża, by go pochłonięła ziemia. Zrównał się z nim Franciszek i spytał:

— Któż ty jesteś?

— Jestem brat Leon, ojcze! — odparł drżąc na całym ciecie.

— Czemuż przyszedłeś tu, owieczko? — pytał dalej — Czyż ci nie zabroniłem śledzić mnie. W imię świętego posłuszeństwa, powiedz coś wi-
dział i słyszał!

— Słyszałem, ojcze, jak powtarzałeś raz poraz: — Kimże jesteś, o słodki Boże mój? Kimże jestem ja, najmarniejszy robak ziemi i sługa twój niegodny?

— rzekłszy to, ukląkł brat Leon i płacząc prosił o przebaczenie nieposłuszeństwa. Potem zapragnął wyjaśnienia tych słów i powtórzenia innych, których rozpoznać nie był w stanie.

Zgodził się na to święty, widząc, że wielka niewinność i prostota brata Leona pozwala mu widzieć pewne rzeczy boskie, toteż rzekł mu:

— Wiedz tedy, owieczko Chrystusowa, że wymawiając to, spostrzegłem dwa światła w duszy. Zwracając się do Boga, widziałem w jednym z tych światel nieskończoną dobroć, mądrość i potęgę, mówiąc zaś o sobie widziałem w drugim nikczemną nicość i podłość własnej nędzy duchowej. Dlatego powiedziałem potem: — Tyżes to, Panie nieskończenie dobry i mądry, raczył zstąpić do mnie, robaka nędznego? — Zaś płomień niebiański osłaniał Boga, który mówił do mnie, jak ongiś do Mojżesza. Wśród tej rozmowy zażądał Bóg ode mnie trzech podarków. Odparłem: — O Panie, cały jestem twój! Cóż ci dać mogę, skoro mam jeno płaszcz, sznur i sandały, a i to nie jest moją własnością, lecz twoją. Odparł na to Bóg: — Przeszukaj duszę twoją, a co w niej znajdziesz, daj mi. Jałem szukać i znalazłem kulę złotą, którą dałem Bogu. Uczyniłem tak trzy razy, wedle rozkazu, potem ukląkłszy, podziękowałem, że mi dostarczył podarków. Bóg zaś dał mi do zrozumienia, że te trzy

kule to święte Posłuszeństwo, szlachetne Ubóstwo i lśniące jasno Miłosierdzie!

Kazał bratu Leonowi przynieść ewangeljarz, gdyż Bóg mu powiedział, że, otwierając książkę trzy razy, dowie się, czego jeszcze żąda od niego. Po modlitwie polecił bratu Leonowi otworzyć trzy razy ewangeljarz i trzy razy książka otwarła się na Męce Pańskiej. Znaczyło to, że jako kroczył za Chrystusem drogą czynów życia jego, tak teraz zacznie go naśladować w Męce Krzyżowej. I od czasu tego zaznawał Franciszek większych jeszcze słodyczy komtemplacji i częściej go Bóg nawiedzał.

Odwiedziny te, będące przysposobieniem na przyjęcie świętych stygmatów, nastąpiły zaraz niemal, a odbyły się w ten sposób: W wigilję uroczystości św. Krzyża modlił się przy chatce swojej, aż nagle zobaczył anioła, który mu rzekł:

— Przybywam dodać ci otuchy i powiedzieć, byś był gotów znieść cierpliwie to, co Bóg ześle na ciebie.

— Gotów jestem przyjąć wszystko z rąk Pana! — odpowiedział Franciszek, a anioł znikł.

Nazajutrz, w dzień św. Krzyża modlił się Franciszek żarliwie u progu chaty z twarzą na wschód obróconą:

— O Panie! — wołał — Chcę, byś mi zanim umrę, użyzył dwu łask. Po pierwsze chcę czuć

w duszy i ciele o ile można potrosze bodaj ten ból, jaki cię przenikał na krzyżu. Po drugie zaś pragnę doznać w sercu tego bezmiaru miłości, która cię skłoniła, Synu Boży, do poświęcenia się za nas, grzeszników.

Podczas drugiej modlitwy poznał, że Bóg wysłuchał jego prośb i że zostanie mu danem jedno i drugie, w mierze dla człowieka dostępnej.

Otrzymawszy tę obietnicę, jał Franciszek medytować z całą żarliwością nad świętą Męką Chrystusa Pana i rozpalił się tak, że uczuł, jakby został sam przeistoczony w Zbawiciela. Płonął miłością i świętem uniesieniem, aż ujrzał nagle zstępującego z nieba Serafina o sześciu jaśniejących skrzydłach. Leciał bardzo szybko, a gdy był blisko, rozpoznał w nim Franciszek obraz Ukrzyżowanego. Dwa skrzydła złożone były nad głową archaniola, dwa rozpostarte do lotu, a dwa ostatnie okrywały ciało jego. Przeraził się wielce święty, ale uczuł zarazem radość i słodycz niewysłowioną.

Podczas tej wizji seraficznej mówił do Franciszka Chrystus Pan, zwierając mu pewne, wielkie tajemnice, których święty nie wspomniął do końca życia nikomu. Po długim dopiero czasie znikło archanielskie widzenie, zostawiając w sercu Franciszka żar nieopisany miłości bożej, na ciele zaś przedziwny obraz i podobieństwo ran Chrystusowo-

wych. Utworzyły się niezwłocznie na jego rękach i nogach znaki gwoździ, zupełnie podobne jak te, które oglądał na ciele Chrystusa, zjawionego w postaci Serafina. Dłonie jego i stopy zdawały się być przebite na wskroś tymi gwoźdźmi o głowach czarnych i sterczących, palce się pokrzywiły, a rany otwarły tak, że można w nie było wsunąć palec. Prócz tego na prawym boku zjawił się znak włóczni, a potem rana otwarta, sącząca jasną krew, tak że piersi jego i odzież zostały pokryte krwawymi plamami.

Uczniowie zauważyli sami, zanim im opowiedział wszystko, że nie odsłania dłoni, ni stóp, a także że nie może stąpać po ziemi. Piorąc jego odzież, poznali, że otrzymał na rękach, nogach i boku znaki ran Chrystusa Ukrzyżowanego. Święte rany owe przepajały go radością niewysłowioną, jednocześnie sprawiając ból wprost niemożliwy nieraz do zniesienia. Musiał przeto wkońcu wyznać wszystko, pierwszemu zaś Leonowi, jako najnaïwniej prostemu, pozwolił dotknąć tych ran i opatrzyć je płótnem, by krew zatamować. Słabnąc czasem z bólu, pozwalał zmieniać bandaże codziennie niemal, jeno od czwartku wieczorem do soboty rano nie przyjmował żadnej ulgi, by nie zacierać niczem obrazu Męki Pańskiej, którą nosił w ciele swoim.

Po skończeniu postu postanowił święty Franciszek wracać do Porcunkuli. Wezwawszy tedy braci Massea i Aniola, polecił im jak najgoręcej czuwać nad świętą górą Alverno i zawiadomił, że wraca do kościoła Najśw. P. Marji z bratem Leonem. Potem pożegnał ich i przyniewolony prośbami pozwolił im oglądać, dotykać i całować ręce swe, przyozdobione pełnymi chwałą świętymi stygmatami Męki Pańskiej.

XVI.

HYMN DO SŁOŃCA.



wa lata przed śmiercią zapadł św. Franciszek ciężko na oczy, a kochający go wielce meszere kardynał Hugolin poradził mu, byjechał do Rieti, gdzie byli podówczas znakomici okuliści. Otrzymawszy list przyjaciela, udał się Franciszek do kościoła Św. Damjana, gdzie przebywała Klara, arcypobożna oblubienica Chrystusa Pana, chcąc przed odjazdem udzielić jej pociech duchownych. Pierwszego jednak zaraz dnia po przybyciu, tak mu się pogorszyło, że nie mógł znieść blasku słońca, ani nawet ognia. Klara kazała dlań tedy zbudować celę z plecionek gęstych, w której spędził po ciemku sześćdziesiąt dni i nocy. Stało się też, za wolą Boga, który chciał zwiększyć cierpienia, a przeto i zasługi świętego, że celę tę

obsiadło mnóstwo szczurów, które, chodząc po Franciszku, przeszkadzały mu w spoczynku i modlitwie. Nawet kiedy jadł, wskakiwały na stół, wyprawiały takie awantury, iż sam on i bracia uznać to musieli za nowe prześladowanie djabelskie.

Będąc udręczony tylu mękami ulitował się Franciszek pewnej nocy nad sobą i poprosił:

— O Panie! Przybądź mi z pomocą! Spraw, bym to wszystko znosił cierpliwie.

I zaraz usłyszał głos, który mu mówił:

— O synu mój! Raduj się z utrapień i dolegliwości twoich, bowiem otrzymasz wzamian skarb wielki, jakiego nie posiada ziemia cała!

— O Panie! — zawołał — Pożądam, łaknę tego skarbu cudownego!

— Raduj się przeto! — rzekł mu głos — Wesel się z niedoli twojej i bądź tak spokojny, jakbyś już przebywał w królestwie mojem!

Zbudziwszy się rano, przywołał braci i jął mówić w te słowa:

— Gdy cesarz wielki daje któremuś ze sług swoich królestwo, żaliż nie raduje się sługa ów? Gdyby zaś otrzymał całe cesarstwo, żaliż nie powinienby się bardziej jeszcze weselić? Tedy i ja winienem być rad wszystkim udrękom moim, dzie-

kując Bogu Ojcu, Synowi jego Jednorodzonemu, Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi i Duchowi Świętemu za wielką łaskę, jaką mi uczynił, przyrzekając jeszcze za życia królestwo swoje. Przeto ku czci jego, pociesze naszej, oraz zbudowaniu bliźnich, ułożę nowy hymn ku czci dzieła Stwórcy, które jest nieraz ludziom narzędziem obrażania Boga. Tak, tak, jesteśmy niewdzięczni za łaski i nie dziękujemy nigdy za nie, jak należy, Panu nad Pany.

Usiadł na posłaniu, podumał chwilę potem zaś zawołał: — Najwyższy, Wszechmocny Boże i Panie! — Na słowach tych osnuł pieśń, którą nazwał „Hymnem do Słońca“ i nauczył braci słów i melodji. Tak mu się samemu spodobała pieśń owa, że polecił zawezwać brata Pacyfika, którego nazywano „królem poezji i pełnym wdzięku doktorem śpiewu.“ Był on w istocie podówczas mistrzem śpiewaków watykańskich, a św. Franciszek chciał mu dodać kilka braci biegłych w kaznodziejstwie, by po kazaniu śpiewali ów hymn, wzorem świeckich zonglerów i truwerów.

Chciał, by nawet po kazaniu mówili bracia:

— Tak, tak, jesteśmy truwerzy Pańscy, posłuchajcie nas, a uzyszczecie prawdziwą skrucę za grzechy.

Dodawał też:

— Czemże są w samej rzeczy słudzy Boga, jeśli nie jego truwerami, którzy rozpłomieniają ludzkie serca uniesieniem ducha?

Miał na myśli szczególniej Braci Mniejszych, którzy się oddali bliźnim ku ich zbawieniu.

W tym to czasie udał się święty Franciszek poraz ostatni na górę Alverno wraz z bratem Masseo, którego list poniżej przytaczamy:

— Jezus i Marja, nadzieja nasza!

Brat Masseo, grzesznik i sługa niegodny Jezusa Chrystusa, towarzysz brata Franciszka z Asyżu miłego Bogu, zasyła pokój i pozdrowienie wszystkim braciom i synom wielkiego patriarchy Franciszka, sługi Chrystusowego.

— Dnia 30-go września 1224 roku, w dniu świętego Hjeronima, postanowił wielki patriarcha pożegnać poraz ostatni świętą górę, a hrabia Orlando de Chiusi przysłał mu konia jucznego, albowiem nie mógł chodzić nogami przebitymi od gwoździ. Wysłuchawszy, jak miał w zwyczaju, mszy świętej u św. Marji Anielskiej, zgromadził braci w oratorjum i zalecił im gorąco, by żyli zgodliwie, regularnie odprawiali modły, otaczali staraniem kościół i adorowali w nim dniem i nocą. Poleciał im też górę świętą, zalecając zarówno im jak i następcom, by nie dopuścili do profanacji tego miejsca, ale przeciwnie, szerzyli cześć jego i poszano-

wanie, poczem udzielił błogosławieństwa wszystkim, którzy na niej mieszkają i mają ją w poszanowaniu. Potem dodał:

— Natomiast hańba tym i kara boska, którzy postępują, lub postępować będą inaczej! Wiedz, o bracie Masseo, że chcę, by żyli na górze bracia, wiedzący co bojaźń boża, najlepsi w zakonie i najlepsi z najlepszych. Ach, bracie Masseo, czyż mam mówić wyraźniej jeszcze?

— Potem nakazał mnie, czyli bratu Masseo, bratu Aniołowi, Sylwestrowi i Illuminadowi mieć w osobliwszej pieczy miejsce, gdzie stał się cud udzielenia Świętych Stygmatów. Potem rzekł mi:

— Z Bogiem! Z Bogiem! Z Bogiem!

Zwrócony do brata Anioła, rzekł mu:

— Z Bogiem! Z Bogiem!

A bratu Illuminadowi rzekł też:

— Z Bogiem! Pokój wam, ukochani bracia! Z Bogiem! Rozstaję się z wami ciałem, ale serce moje przy was zostaje. Odjeżdżam z bratem Pecorellą do Najśw. P. Marji i nigdy już tu nie wrócę. Odjeżdżam! Zostańcie z Bogiem! Żegnam cię, góro święta alverneńska, góro anielska. Zostań z Bogiem, drogi sokole mój! Dzięki ci za życzliwość! Zostań z Bogiem, skało Spicco, której już nie ujrzę, a któraś mnie przyjęła w łono swoje,

ratując od djabelskiej napaści! Już się nie zobaczymy! Żegnaj cię, o Santa Maria degli Angeli, oddaję ci w opiekę synów moich, o matko słowa Przedwiecznego!

— Słyszac te słowa najdroższego ojca naszego, płakaliśmy wszyscy rzewnie, a on sam wkońcu także się rozplakał. Zabierał serca nasze, myśmy zaś zostawiali sierotami po nim na ziemi. Ja, brat Masseo piszę to, płacząc.

Niechże nas Bóg błogosławi!

Przybył na koniec do pustelni Monte Colombo pod Rieti, na wyraźne życzenie kardynała Ostji, dla ratowania wzroku. Przybyły lekarz oświadczył po zbadaniu, że trzeba dokonać przyżegnienia pod i nad okiem gorzej dotkniętem niemocą. Franciszek wzdragał się zezwolić na to przed przybyciem brata Eljasza, który się wielce interesował tą operacją. Bał się też, że jest to zbyt wielka uległość dla własnego ciała (i to mu było najprzykrejsze). Chciał tedy, by dokonano przyżegnienia w obecności generała zakonu. Ponieważ jednak nie wracał, zajęty mnóstwem spraw, zezwolił w końcu, a gdy żelazo leżało na ogniu, chcąc sobie dodać otuchy, rzekł ogniowi:

— Ogniu, bracie nasz, szlachetny i pożyteczny wielce wszystkim, bądźżeż mi litośny tej godziny, bowiem kochałem cię i kochać będę zawsze, przez

miłość dla Stwórcy twego. Proszę też uśmierzyć gwałtowność swoją, bym ją mógł znieść!

Potem przeżegnał ogień.

— Uciekliśmy w tej chwili, my wszyscy, którzyśmy z nim byli, — opowiada dalej brat Leon, a to przez żal i współczucie, tak że lekarz został sam. Po przyżegnieniu wróciliśmy, on zaś rzekł do nas:

— O ludzie tchórzliwi i małej wiary, czemużście to uciekli? Zaręczam wam, nie czułem pieczenia, ani nawet gorąca i jeśli mało tego, jeszcze pozwolę się dalej przyżegać.

Lekarz był wprost zachwycony.

— Zaprawdę, o bracia czcigodni — powiedział — bałem się tej operacji ze względu na bezsilność chorego, bo jest ona dotkliwą dla najsilniejszego nawet człowieka. Tymczasem nasz święty nie drgnął nawet, ani nie dał znaku bólu.

— Potem przyżegnieto mu jeszcze żyły od ucha, aż do brwi, ale i to nic nie pomogło. Wkońcu inny lekarz przekłuł mu oba uszy rozpalonem żelazem, bez żadnego atoli skutku.

— Cóż dziwnego, że słuchał go i czcił ogień oraz wszystko w świecie. Byliśmy z nim i wiemy, jaką miłością płonął do każdej zjawy świata, jakim podziwem i współczuciem, tak że raziło go wszelkie krzywdzenie ich, a nawet złe i obelżywe słowa.

Nieraz popadał też w zachwycenie z tego powodu.

Pośród zjaw niższych i bezwrażliwych kochał przedewszystkiem ogień dla jego piękna i użyteczności, wzbraniał też przeszkadzać mu w działaniu. Gdy siedział pewnego razu u ogniska, zajęły się spodnie płócienne na jego nogach, ale nawet czując pieczenie, nie gasił zarzewia. Zabronił tego też, uczynić jednemu z braci, mówiąc: — Nie czynź złego ogniewi, bracie! — Dopiero, gdy nadbiegł drugi, zgaszono ogień wbrew woli świętego. Wzbraniał też Franciszek gasić światła, wogóle świecy, czy lampy, a to z miłości i współczucia dla ognia.

Po ogniu kochał on najbardziej wodę, ponieważ była mu obrazem oczyszczenia duszy z grzechów, jak woda chrztu świętego. Myjąc ręce, szukał miejsca, gdzieby opadających kropel nie deptano nogami. Z pełną czci ostrożnością stąpał też po kamieniach, pamiętny miana Piotra (petra), a recytując psalm: *In petra exultaviasti me*, dodawał nabożnie: I podniosłeś mnie po oparciu stóp twoich.

Patrząc na rąbanie drzew, w celu rozniecenia ognia, prosił zawsze braci, by zostawili kilka gałęzi nieuszkodzonych przez pamięć tego, który zmarł na krzyżu. Gdy uprawiano jarzyny w ogrodzie, nakazywał zostawić kącik jakiś dla roślin

kwitnących i wonnych, a nie jadalnych, by przypominały tego, którego nazwano: *flos campi et lillium convallium*. Takie ogródki kwietne kazał zakładać wszędzie, by zapach i piękne kształty kwiatów nęciły ludzi, a skłaniały ich do hołdu dla Boga. Każda istota wołała bowiem: — Człowieku, dla ciebie to Stwórca powołał mnie do życia!

Ponad wszystkie atoli stwory, pozbawione rozumu najczulej kochał słońce.

— Wszyscy powinni by — mawiał — wielbić o wschodzie słońca tego, który je stworzył dla nas, by nam przyświecało, zaś o zachodzie wielbić ogień, bez którego bylibyśmy podobni ślepcom. Z powodu słońca i ognia należy się cześć i podzięka nasza Stwórcy, a także z powodu rozlicznych innych rzeczy użytku codziennego.

Rozmyślając ciągle nad pięknością słońca i mówiąc o tem, że daje ono najwyraźniejszy obraz Pana naszego, oraz przypominając, jako Ewangelja zowie Chrystusa Pana Słońcem Sprawiedliwości, nadał miano „Hymnu do słońca“ swej pieśni, którą ułożył pod kościółkiem św. Damjana, będąc w towarzystwie błogosławionej Klary.

Pieśń owa, to hołd dla wszelkich istot, ułożona w czasie, kiedy Bóg przyobiegał mu królestwo swoje.

HYMN DO SŁOŃCA.

Najwyższy, Wszechpotężny, Dobry Panie!
Tobie hold, cześć i błogosławieństwo wszelakie!
Tobie jednemu Wszechmocny należą się one!
Tobie, którego imienia wyrzec jesteśmy niegodni!
Bądź pochwalony, wraz z wszystkimi stworze-
niami twemi.

A przedewszystkiem bądź uwielbiony w bracie
naszym Słońcu.

Czyni ono dzień i światłość sieje.

Jest piękne i błyszczy z wielką wspaniałością,
będąc przejawem twojej, o Boże, jasności.

Bądź uwielbiany Panie przez Księżyc i Gwiazdy,
brata i siostry nasze.

Zawiesiłeś wszystko to na niebie, by lśniło,
hold oddając tobie.

Bądźże uwielbion także przez Wiatr!

Niechaj ci chwałę głosi Powietrze, pogodne, czy
burzą miotane.

Pory roku, sprzyjające stworzeniu, niech świadczą
o mocy twojej.

Niechaj ci będą dzięki za siostrę Wodę, czystą,
korną, i użyteczną.

Bądź uwielbiony w Ogniu bracie, który roz-
prasza ciemń Nocy.

Jest piękny, dzielny i potężny.

Niechaj ci chwała będzie przez Ziemię, siostrę
i przyjaciółkę naszą.

Przy życiu nas utrzymuje ona, dając owoce
i kwiaty barwiste.

Bądźże przez tych pochwalony, Panie, którzy
przebaczają dla miłości ku tobie,

Którzy znoszą cicho ułomności i prześladowania.
Szczęśliwi cierpiący w milczeniu.

Przez ciebie, o Najwyższy, zostaną oni nagrodze-
ni koroną.

Chwalmyż Pana, dziękujmy mu i błogosławmy
go z wielką, wielką pokorą!

Wkrótce po ułożeniu przez błogosławionego
Franciszka tego hymnu do słońca, popadli w za-
cięty spór biskup i podesta Asyżu. Biskup rzucił
na podestę klątwę, zaś podesta ogłosił przy dźwięku
trąb, że nikomu z mieszkańców nie wolno bisku-
powi nic sprzedać, nic odeń kupić i żadnej z nim
zawrzeć umowy.

Chory podówczas ciężko Franciszek zasmucił
się wielce tym sporem, którego nikt załagodzić nie
myślał i rzekł braciom:

— Wielką jest dla nas przykrością ów zatarg,
zwłaszcza, że niema człowieka, któryby się jął
przywrócenia pokoju.

Potem zaś zacytował wiersz hymnu:

— Bądź przez tych pochwalony, o Panie, którzy przebaczą dla miłości ku Tobie!

Przyzywał jednego z braci i nakazał mu:

— Idź do podesty i powiedz mu ode mnie, by przybył do biskupstwa wraz z dostojnikami miasta z wszystkimi, których zabrać zdoła.

Gdy brat odszedł, przyzywał dwu innych braci i przykazał im:

— Wynijdzie naprzeciw biskupa, podesty i całego orszaku, śpiewając hymn słońca. Mam nadzieję, że Bóg ułagodzi ich serca, że wrócą do dawnej zgody i przyjaźni.

Biskup, podesta i obywatele zebrawszy się na terenie pałacu biskupiego, a jeden z braci przemówił w te słowa:

— Chorym ciężko będąc, ułożył błogosławiony sługa boży, Franciszek, hymn ku czci Boga i wszystkich, co żywie, dla chwały Pańskiej i zbudowania bliźnich. Przez usta moje prosi was, miłośnicy panowie, mąż święty, byście go wysłuchali ze skupieniem

Bracia jeli wygłaszać i śpiewać hymn.

Ledwo zaczęli, wstał podesta i, złożwszy modlitewnie dłonie, słuchał pieśni, jak Ewangelji świętej, bowiem czcił wielce i uwielbiał Franciszka. Gdy bracia skończyli, rzekł głośno, wobec wszystkich:

— Zaprawdę, powiadam wam. Uznaję messere biskupa za mistrza i pana mego, a nawet gotów jestem przebaczyć zabójcy brata mego, czy syna.

Potem padł przed biskupem, mówiąc:

— Gotów jestem dać wszelkie żądane przez Waszą dostojność zadośćuczynienie dla miłości Pana naszego, Jezusa Chrystusa i sługi jego, Franciszka.

Biskup podniósł zyczliwie podestę oburącz i powiedział:

— Z urzędu mego winienem był okazać większe umiarkowanie. Jestem atoli porywczy i łatwo mnie gniew ogarnia. Przebacz mi tedy, bracie!

Uradowało wielce braci, że przepowiednia Franciszka o zgodzie spełniła się dosłownie. Wszyscy także obecni przypisywali zasługom błogosławionego ów istny cud, to wyraźne zrządzenie boże, które położyło nagle tamę waśni i zgodą uwieńczyło sprawę głośną, tak że wspomnienia nawet nie zostało po tylu krokach nieprzyjacielskich.

XVII.

ŚMIERĆ I POGRZEB.



ługa boży, Franciszek, leżał w pałacu biskupa Asyżu, złożony ciężką niemocą, a ręka boża spoczywała na nim ciężej, niżli dotąd. Asyżanie obawiali się, że umrze tejże jeszcze nocy i że bracia przeniosą ciało jego do innego

miasta. Uradzili tedy rozstawić strażę obywatelskie wokół murów biskupstwa, by pilnowały czujnie.

Franciszek kazał sobie śpiewać kilka razy w ciągu dnia hymn swój ku chwale Boga celem złagodzenia cierpień i udręk wielkich, jakie go nawiedzały ustawicznie, sam zaś śpiewał nocami dla zbudowania i pociechy tych świeckich ludzi, którzy z jego powodu czuwali, stojąc na straży, zewnątrz pałacu.

Brat Eljasz, zbudowany tym sposobem krzepienia sił i łagodzenia cierpień świętego męża, rzekł mu:

— Najukochańszy ojcze nasz, radujemy się wszyscy i budujemy wielce radością twą wśród cierpień, zważ atoli, że mieszkańcy miasta, którzy cię wielbią jak świętego, sądzą, że jesteś chory nieuleczalnie i zemrzesz rychło, mogą sobie pomyśleć: — Jakto? Czemuż objawia taką radość Franciszek? Żalisz nie powinienby raczej pomyśleć o śmierci?

Odparł na to święty:

— Przypomnij sobie widzenia, jakie miałeś swego czasu pod miastem Foligno. Ktoś ci powiedział wówczas, jak wspomniałeś, że umrę za dwa lata. Jeszcze przed wizją twoją często rozmyślałem nad śmiercią, ale od dnia tego jałem medytować nad tem nieustannie! — potem zaś dodał z zapalem wielkim: — Pozwól mi, bracie, radować się w Panu i wielbić go pośród cierpień moich, gdyż dzięki opiece i łasce Ducha Świętego tak jestem zjednoczony z Bogiem, że uczestniczę w jego istocie samej.

Tego samego dnia przybył doń pewien lekarz z Arezzo, imieniem Jan, zwany „Dobrym“, znajomy i przyjaciel świętego męża, a Franciszek zapytał go:

— Co sądzisz ty, którego witam mile, o chorobie mojej?

Nie chciał zwać nikogo dobrym z uwagi na Boga, który, jak powiedziano w Piśmie, jest jedynie sam dobrym. Nie pozwalał też nikomu zwać siebie ojcem, lub mistrzem, ze względu na Chrystusa, który rzekł: — Niech nikt nie zwie się Ojcem na tym świecie!

Lekarz odpowiedział:

— Wszystko się skończy dobrze, z łaski Boga.

A Franciszek rzekł znowu:

— Powiedz mi prawdę. Co myślisz? Mów bez obawy. Nie jestem, dzięki Bogu, kobietą drżącą przed skonem. Z łaski Ducha Świętego jestem ściśle zjednoczony z Bogiem, że śmierć i życie są mi jednakiem szczęściem.

Na to powiedział lekarz:

— Choroba twoja jest wedle naszej wiedzy ziemskiej nieuleczalną i sądzę, iż umrzesz z końcem września, lub w początkach października.

Usłyszawszy te słowa, wzniosł Franciszek w niebo modlitwne ręce i zawołał w radości wielkiej ciała i duszy, oraz czci Chrystusa:

— Witam cię, o siostro Śmierci!

Po chwili rzekł mu jeden z braci:

— Ojcze nasz! Życie twe i nawrócenie były i są pochodnią i zwierciadłem nietylko dla braci twoich, ale także dla całego Kościoła. Taką samą będzie śmierć twoja i chociaż zasmuci ona i żalobą okryje nas, oraz wielu innych, tobie sprawi radość i uciechę niewysłowioną. Po pracy bowiem żmudnej użyasz spoczynek wielki, z niezliczonych cierpień i pokus przejdiesz do pokoju wieczystego, z ubóstwa doczesnego, przestrzeganego tak pilnie, do bogactw prawdziwych, a ze śmierci znikomej do życia nieskończonego przed oblicznością Boga, któregoś czcił na ziemi z takim zapalem, miłością i pożądaniami.

Potem dodał szczerze:

— Wiesz dobrze, ojcze, że jeśli ci Bóg nie zesła leku z nieba, przeciw chorobie twej niema środków na ziemi, a wedle zdania lekarzy żyć długo nie możesz. Mówię to, by dodać otuchy duszy twojej. Nie przestaj radować się duszą i ciałem, by snadź wszystkim, patrzącym i słuchającym cię, śmierć twoja została takim wspomnieniem i takim przykładem, jakimi były, są i pozostaną na zawsze, życie i nawrócenie twoje.

Słowa te przejęły Franciszka nową radością i chociaż mu bardziej, niż zwykle, dokuczały cierpienia, na wieść o bliskiej śmierci jął sławić Pana z zapalem. Potem rzekł:

— Podoba się Panu, bym umarł nieza długo, przywołaj mi tedy brata Anioła i Leona, by zanucili hymn ku czci Śmierci, siostry mojej.

Przyszli obaj smutni, bolejący i jeli śpiewać z płaczem hymn ku czci słońca i innych zjaw stworzenia, a Franciszek dodał przed wierszem ostatnim ustęp poświęcony Śmierci:

*Bądź pochwalony, o Panie przez siostrę naszą,
Śmierć cielesną!*

*Nie ujdzie jej, zaprawdę, żaden z ludzi!
Biada temu, kto umiera w grzechu ciężkim!
Szczęśni ci, którzy słuchają Woli twojej świętej!
Albowiem Śmierć druga nie dotknie ich!*

Upewniony co do rychłej śmierci, zarówno przez Ducha Świętego, jak i lekarza, jakoteż czując ciągle pogorszenie stanu swego, polecił mąż święty, by go wraz z łóżkiem przeniesiono do kościółka Najśw. Marji Panny w Porcunkuli. Chciał tam zakończyć życie cielesne, gdzie zaczął życie ducha swego.

Niosący go, doszli do szpitala, mieszczącego się na połowie drogi pomiędzy Asyżem, a Porcunkulą, a Franciszek kazał postawić łóżko na ziemi. Oślepi już zupełnie niemal skutkiem długotrwałej choroby oczu, polecił tedy, by go obrócono twarzą w stronę Asyżu. Uniósł się trochę i pobłogosławił miasto, mówiąc:

— Miasto owo było pono, o Panie, w czasach dawnych siedzibą ludzi złych, tyś atoli zła na nie obficie dobrodziejstwa swoje w czasie, kiedy ci się to uczynić spodobało. Obrześ je w dobroci swojej na mieszkanie tych, którzy cię poznali naprawdę, przysparzają chwały imieniowi twemu i szerzą po świecie dobrą sławę zbożnego życia, oraz naukę prawdziwą ewangelicznej doskonałości. Błagam cię tedy, Jezu Chryste, Ojczy miłosierdzia, racz zapomnieć wdzięczności dawnej ludzi, pamiętnym będąc jeno twej niezmiernie litości, okazanej im, tak by miasto to było osiedlem znających cię naprawdę i sławiących twe imię wielkie i pełne chwały na wieki wieków, Amen!

Gdy skończył te słowa, zaniesiono go do kościoła Najśw. M. P. Anielskiej i tam połączył się z Panem naszym, Jezusem Chrystusem, w czterdziestym czwartym roku życia swego, dwudziestym pokuty, a MCCXXVI roku Pańskim, dnia 4. października. Odszedł do tego, którego miłował gorąco z uniesieniem niezmiernem i naśladował, wstępując w jego ślady, tak że wkońcu dostąpił udziału chwały, w której panuje z Ojcem i Duchem Świętym po wszystkie wieki.

Leżąc na łożu śmierci w Porcjunkuli, przywołał święty towarzyszy i rzekł im:

— Wiecie wszyscy, że wierną i oddaną była

zawsze zarówno mnie, jak i zakonowi pani Jakoba Settesoli. Sądzę przeto, że uzna to za wielką łaskę i że będzie jej pociechą duchową, jeśli dowie się o ciężkiej chorobie i bliskiej śmierci mojej. Niechże tedy idzie do niej któryś z was. Radbym, by mi przysłała sukna zakonnego, koloru popiołu, oraz ciastek, jakie piekła dla mnie nieraz, czasu pobytu w Rzymie. Rzymianie zwą je *mostaccioli*, a wchodzi w nie migdały, cukier i inne jeszcze rzeczy.

Była to w istocie bardzo pobożna wdowa wysokiego rodu i bogata bardzo. Cnoty św. Franciszka, kazania jego, oraz łaska Boga sprawiła, że stała się niejako drugą Magdaleną i przez miłość dla Chrystusa pędziła żywot na modłach wśród łez rozczulenia.

Bracia napisali list po myśli życzeń Franciszka i zaczęli już szukać pośród siebie posłańca, gdy nagle zapukano do drzwi. Otwarli coprędzej i oto ujrzeni wszyscy panią Jakobę we własnej osobie, która przybyła pospiesznie na wieść o chorobie świętego męża. Bracia pobiegli do Franciszka z zawiadomieniem, że pani Jakoba przybyła z Rzymu, wraz z synem i wielu osobami, chcącymi złożyć mu hołd. Potem spytali:

— Cóż pocniemy, ojczy? Żaliż jej wzbronić mamy wstępu?

Mówili tak, bowiem Franciszek przykazał nie wpuszczać kobiet do klasztoru z uwagi na obyczajność i nabożność. Ale święty odparł im:

— Zakaz ten nie dotyczy kobiety, która okazała tyle wiary i pobożności. Wprowadźcie ją tedy, skoro przybyła z tak daleka.

Pani Jakoba zbliżyła się, roniąc łzy obfite. I oto wszyscy ujrzeni cud! Przywiozła ona ze sobą sukno żałobne, o którym było pisane w liście, zupełnie tak, jakby list ten otrzymała. Powiedziała braciom:

— Bracia czcigodni, modląc się, usłyszałam te słowa: — Jedź bez straty czasu do błogosławionego Franciszka, a spiesz się jeśli go chcesz zastać jeszcze żywym. Weź dlań także takie, a takie sukno i te a te rzeczy do jedzenia, gdyż lubi je. Zabierz jeszcze sporo wosku na świece pogrzebne i kadzidło.

Wszystko to, oprócz kadzidła, wymienione było w liście. Ten, który wysłał trzech Króli do żłóbka Nowonarodzonego, by mu cześć oddali, polecił również i damie tej, by pojechała z darami do sługi bożego w dniu jego śmierci, to znaczy w dniu prawdziwych urodzin.

Przyrządziła zaraz ciastka, jakich chciał Franciszek, ale spożył ledwo troszkę, gdyż mdlał co chwila, bliskim będąc śmierci. Kazała narobić

z wosku mnóstwo świec, by płonęły wokół świętobliwego ciała jego. Ze sukna uszyli mu bracia pogrzebną opończę, w której został pogrzebiony, zaś on sam polecił włożyć się jeszcze w worek zgrzebny, przez pokorę i cześć dla Ubóstwa. W ciągu tygodnia, w którym przybyła pani Jakoba, mąż święty przeniósł się na łono Chrystusowe.

W tym samym czasie, kiedy święty Franciszek opuścił tę ziemię, leżała ciężką także złożona chorobą błogosławiona Klara, będąca pierwszą odroślą Sióstr Ubogich Św. Damjana, oraz współzawodniczką Franciszka w cnotach i doskonałości ewangelicznej. Bojąc się, że umrze przed nim, płakała zdjęta żalem, że już nie zobaczy swego jedyne po Bogu ojca pocieszyciela, mistrza i pośrednika w łasce bożej, jaka na nią spłynęła. Rozczuliło to Franciszka wielce, gdy mu doniósł posłaniec, co mówiła błogosławiona Klara, i uczuł szczególniejsze dla niej przywiązanie ojcowskie. Ponieważ było jednak niemożliwe zobaczyć się z nią osobiście, posłał jej tedy listowne błogosławieństwo i absolucję wszystkich uchybień, jakichby się mogła dopuścić przeciw regule, wskazówkom jego, oraz natchnieniom Syna Bożego. Pragnąc też, by porzuciła smutek i żalobę, polecił wysłać cowi, by jej powiedział:

— Zapowiedz siostrze Klarze, iż ma odrzucić wszelaki smutek i żalobę, bo, chociaż mnie nie zobaczy za życia mego, przed swą śmiercią jeszcze ujrzy mnie wraz z siostrami i dozna wielkiej pociechy.

Wieczorem, onego dnia, w którym odszedł do Chrystusa święty Franciszek, zleciało na dach klasztorny mnóstwo jaskółek, ulubionych ptasząt jego, mimo że będąc córkami słońca, obawiają się zazwyczaj mroku. Trzepotały skrzydełkami i przyspiewywały długo na swój sposób. Niewiadomo, czy się smuciły, czy radowały. Może żal im było, iż zastały osieroczone, a może składały hołd ojcu swemu, wstępującemu do chwały wiekuistej. Zachwyceni tym świegotem nocni stróże miasta, zwoływali się wzajem, słuchając z lubością wielką.

Tymczasem spieszyli zewsząd bracia i synowie świętego na obrzęd pogrzebowy. Z przeróżnych miast nadciągały procesje, tak że przez całą noc rozbrzmiewały pieśni niebiańskie, a mnóstwo światła czyniło okolicę czemś, niby wielką strażą anielską. Wczesnym rankiem nadciągnął z Asyżu tłum dostojników i duchowieństwa, a ciało zostało zabrane do miasta przy dźwięku hymnów i grzmocie trąb. Każdy z orszaku niósł gałązkę oliwki, lub innego drzewa i kroczył poważnie, pośród migotania niezliczonych świec, śpiewając ku czci

ojca, jak przystało synowi, idącemu za zwłokami rodzica, i barankowi stąpającemu za pasterzem, który był pasterzem świata całego.

Dotarłszy do miejsca, na którym zaszczeplił latorośl zakonu Ubogich Kobiet, złożono zwłoki w kościele św. Damjana, w którym przebywały pozyskane dla Boga dziewice. Otwarto małe okienko w murze, przez które służki boże przysłuchiwały się zazwyczaj kazaniom, wyjęto też żelazną kratę, a bracia trzymali długo podniesione do okna ciało świętego, wyjęte z trumny.

Zjawiła się błogosławiona Klara wraz z wszystkimi siostrami, by zobaczyć Ojca swego umiłowanego, który nie mógł już przemówić i nie miał przyjść do nich nigdy, albowiem odszedł gdzieś indziej. Jęły wszystkie wzdychać, jęczeć łzy ronić i powtarzać głucho:

— Ojcze! Ojcze! Cóż się stanie z nami? Czemuż napelniłeś nas takim smutkiem? Czemuż opuściłeś nas, biedne istoty? Czemuż to nie posłałeś nas w pełni radości przed sobą tam, dokąd poszedłeś, miast ostawiać za sobą, pełne żaloby? Cóż chcesz, byśmy czyniły w tem więzieniu osamotnionem teraz zupełnie, gdyż nie odwiedzisz nas już nigdy? Ojcze biednych, miłośniku ubóstwa, któż nas będzie podtrzymywał w pokusach i pocieszał w prześladowaniach. O, jakże gorzka to roz-

łaka, jakże smutne rozstanie! Jakże straszną jest śmierć!

Wkońcu atoli uczuły, że dziewicza skromność nie pozwala na tak wielką żalność i nie przystoi smucić się śmiercią tego, który miał przy swem łożu chóry anielskie, a zjawieniem się swoim rozweselił świętych i przyjaciół Pana nad Pany. Wahając się pomiędzy smutkiem, a radością ucałowały cudowne ręce świętego, przyozdobione drogo-cennymi klejnotami i połyskujące od pereł. W chwili, gdy zabrano ciało, zamknęła się żelazna krata okna i nigdy już nie uchylono jej z powodu takiej żałoby. Wielką czułością przepojone były skargi i zawodzenia córek, niezmierną też boleść odczuwali synowie świętego. Wszyscy połączyli się w ogólnej żałobie i nikt łez nie mógł powstrzymać słysząc, jak gorzko płaczą anioły pokoju.

Thum dotarł wkońcu do miasta i złożono ciało świętego z wielką czcią i troskliwością na onem miejscu świętem, z którego oświeca świat, czyniąc ustawicznie niezliczone, a coraz to nowe cuda ku chwale Boga Wszechmogącego.

KONIEC.

280477

TREŚĆ:

	Str.
I. Wiek dziecięcy i młodość (1182—1203) ..	1
Ojciec Bernardo i matka Pika. — Skąd się wzięło imię jego. — Jawszy się handlu ojca wiódł żywot rozrzutny i hulaszczy. — Wojna Asyżu z Perugią. — Franciszek uwięziony w Perugji.	
II. Nawrócenie. — Pierwsze etapy. (1203—1206)	9
Choroba i ozdrowienie. — Rojenia rycerskie. — Ostatnia uczta z towarzyszami zabaw.	
III. Nawrócenie. — Ostatnie etapy (1206—1208)	21
Mówiący krucyfiks u św. Damjana. — Rozłąka ze światem i rodziną. — Naprawa trzech kościołów. — Prześladowania i zerwanie z ojcem. — Jak odbudował kościół św. Damjana.	
IV. Pierwsi uczniowie	35
Rady św. Ewangelji. — Nawrócenie Bernarda de Guintavalle, Idziego i księdza Sylwestra. — Budowa schroniska pod kościołem Najśw. P. M. w Porcjunkuli. — Ekstatyczna wizja przyszłości. — Proroctwa w drodze do Ankony.	

	Str.
V. Papież Inocenty III	49
Pierwszych dwunastu braci. — Szopa w Rio Torto. — Cesarz Otton III. w Asyżu. — Podróż do Rzymu. — Kardynał św. Pawła. — Widzenie św. Franciszka i papieża. — Audjencja u papieża. — Aprobata ustna.	
VI. Powrót z Rzymu (1210)	59
Etapu w drodze z Rzymu do Asyżu. — Radosne Ubóstwo. — Praktyczne zastosowanie pierwszej reguły w Rio Torto.	
VII. Instalacja w Porcjunkuli	69
Bracia Mniejsi (Minoryci). — Proroctwa pod Asyżem. — Porządkowanie kościołów. — Jan Prostack i wół jego.	
VIII. Nawrócenie Św. Klary. Apostolat we Włoszech (1212—1215)	79
Nawrócenie młodej panny wysokiego rodu. — Walki jej z rodziną. — Wyjazd św. Franciszka na wschód. — Rozbicie w Dalmacji i powrót do Ankony. — Podróż do Hiszpanji. — Choroba i powrót. — Biskup Ostji zabrania podróży do Francji.	
IX. Fizyczny i moralny wizerunek Św. Franciszka	89
Jak go przedstawia Tomasz de Cellano. — Człowiek i Święty. — Miłość jego dla Boga i całego stworzenia. — Kazanie do ptactwa. — Jaskółki w Alwiano. — Poszanowanie myśli ludzkiej.	

	Str.
X. Papież Honorjusz III i kardynał Ostji (1215—1217)	99
Elokwencja św. Franciszka. — Po śmierci kardynała św. Pawła bierze klasztor w opiekę Hugolin, biskup Ostji. — Prześladowanie braci. — Św. Franciszek staje przed Honorjuszem III. — Papież zatwierdza nową regułę. — Odpust dla kościoła Najśw. P. M. w Porcjunkuli. — Korne odpowiedzi św. Franciszka i św. Dominika.	
XI. Praca apostolska w Egipcie (1219—1220)	111
Świadectwo francuskiego biskupa Jakóba de Vitry. — Św. Franciszek u sultana w Kairze. — Próba ognia i pokusa wszeteczniczy. — Pobyt w Palestynie. — Powrót do Wenecji.	
XII. Trzecia reguła. Rozłam w zakonie (1220—1223)	117
Opozycja braci i przełożonych przeciw ostrości reguły. — Oświadczenie św. Franciszka, jak niebezpieczną jest nauka. — Psalterz nowicjusza. — Św. Franciszek składa godność głównego zwierzchnika, na znak pokory. — Uczta ze św. Klarą.	
XIII. Cnoty franciszkańskie	129
Nienawiść św. Franciszka dla pieniędzy. — Jego wstręt do wystawnych strojów i mieszkań. — Żebrania przed uczta u kardynała. — Co sądził o kobietach i jak z nimi rozmawiał. — Pokusy.	

XIV. Św. Franciszek, a zwierzęta Str. 139

Miłosierdzie Franciszka. — Popularność jego. — Nawracanie i cuda. — Wizja tronu niebiańskiego. — Miłość Franciszka dla owiec. — Uroczystość wigilijna w Greccio. — Wilk z Gubbio.

XV. Pustelnia na Alverno (1224—1225) 155

Podróż na Alverno. — Przygoda z wieśniakiem. — Schronisko pośród skał. — Ekstazy i wizje św. Franciszka i brata Leona. — Muzyka anielska. — Serafin i cud.

XVI. Hymn do słońca (1225—1226)..... 173

Choroba, dolegliwości i pokusy. — Brat Masseo opowiada jak się żegnał z górą Alverno. — Pocięcha przez miłość dla cudów natury. — Hymn do słońca. — Zgoda i jedność w Asyżu.

XVII. Śmierć i pogrzeb (1226) 187

Radość z bliskiej śmierci. — Pożegnanie Asyżu. — Ostatnie odwiedziny Jakoby de Settesoli i poselstwo od św. Klary. — Agonja i śmierć. — Kondukt pogrzebowy z Porcjunkuli do Asyżu. — Zawodzenie Klarysek.

W CYKLU

„EPOPEJE I LEGENDY“

UKAŻA SIĘ:

Legenda św. Franciszka z Asyżu

Romans Antara

Życie Buddy

Legenda Don Juana

Legenda Cyda Campeadora

